

Kaye Marilyn

Doskonałe dziewczęta

Replika 04

*Dla moich Latających Holendrów:
Jeanne-Marie Hilhorst, Marca Langena i Willema;
Jessie Smits, Theo Van Wijcka i Milou*

NOTATKA DYREKTORA

DOTYCZY: PÓŁKSIĘŻYC, FAZA II
PRZYGOTOWANIA DO NOWOJORSKIEGO ZEBRANIA SĄ W TOKU.
POTWIERDZONO PRZYBYCIE OŚMIU OBIEKTÓW.

Rozdział pierwszy

Zanim przyjaciółka zdążyła zapukać, Amy otworzyła drzwi.

- Wychodzę, mamó! - krzyknęła. - Przyszła Tasha!

Nancy Candler pożegnała je tymi samymi słowami co zwykle.

- Miłego dnia, dziewczęta!

Tasha stała na schodach; miała zmarszczone czoło.

- Wszystko słyszałam -powiedziała. -Co miłego może spotkać człowieka w poniedziałek?

Amy musiała się nad tym zastanowić.

- Poniedziałki są w porządku - odezwała się po

dłuższej chwili. - Bo... bo na piątej lekcji mamy następną uświadamiającą pogadankę. Twarz Tashy rozchmurzyła się.

- Rzeczywiście. Odpadnie mi wuef. A tobie?

- Angielski, mój ulubiony przedmiot. Takie już mam szczęście. Gdybym wiedziała, że w tym miesiącu pogadanki będą się odbywać w poniedziałki, tak ustawiłabym sobie plan, żeby mieć na piątej lekcji geografię. - Nagle się zatrzymała. - Słyszysz Erica.

Tasha wydała z siebie cichy jęk.

- Słyszysz, jak wychodzi z domu czy jak wstaje z łóżka? Nie zamierzam czekać na niego do jutra.

Amy parsknęła śmiechem.

- Gdyby wstawał z łóżka, nic bym nie usłyszała, Tasha. Mój słuch nie jest na tyle dobry.

- A na ile? Na przykład słyszysz u siebie w domu, jak rozmawiam przez telefon?

- Wpadasz w obłąd. - Amy uśmiechnęła się złośliwie. - Czyżbyś chciała coś przede mną ukryć?

- Nie, tak tylko pytam - odparła Tasha. - A słyszysz przez ściany?

- Czasami. Zależy od tego, jak gruba jest ściana i jak głośno ktoś mówi. Poza tym powinnam być skoncentrowana. Muszę nadśluchiwać tego, co chcę usłyszeć.

- To dlatego zawsze słyszysz kroki mojego brata - powiedziała Tasha.

- Ciii! - syknęła Amy. Eric może i nie miał tak

dobrego słuchu jak ona, ale nie był głuchy, a w dodatku od dziewcząt dzieliło go raptem kilka metrów.

Jednak nie usłyszał ostatnich słów siostry. Jego umysł zaprzętało co innego.

- Podobno mamy dzisiaj następną pouczającą pogadankę?

- To się nazywa „apel uświadamiający” - poprawiła go Tasha. - Tak, na piątej lekcji.

Erie odetchnął z ulgą.

- Nie będę miał hiszpańskiego.

- Wydawało mi się, że lubisz hiszpański - zauważyła Amy.

- Jest w porządku, ale zapomniałem odrobić lekcje.

Przyjaciółki spojrzały po sobie. Dobrze wiedziały, że Eric nie jest obdarzony zbyt dobrą pamięcią. Czasami wydawało się to Amy bardzo dziwne.

- Jak mogłeś zapomnieć o pracy domowej? Nie zapisujesz sobie, co masz zrobić?

- Zapisuję, jasne, ale bywa, że zapominam rzucić okiem na notatki. Wiesz, nie wszyscy jesteśmy doskonali.

Tasha spojrzała na niego z pogardą.

- Erie, ja zawsze pamiętam, żeby sprawdzić, co było zadane, a wcale nie jestem ideałem.

Chłopak skinął głową.

- Trudno się z tym nie zgodzić. Hej, Amy, może użyczysz mojej siostrze trochę swojego wspaniałego materiału genetycznego?

- Och, zamknij się - rzuciła Amy z uśmiechem. Dopiero od niedawna знаła prawdę o sobie: że została stworzona przez naukowców, zatrudnionych przy projekcie Półksiężyc, utrzymywanym w całkowitej tajemnicy eksperymencie rządowym. Na ukowcy ci zebrali i zmodyfikowali najlepszy ludzki materiał genetyczny, wynikiem czego była Amy. A właściwie dwanaście identycznych dziewcząt imieniem Amy. Były klonami. Amy przeżyła duży szok, kiedy poznała prawdę o sobie, ale w końcu nauczyła się z nią żyć i niedawno zdradziła swoją tajemnicę Ericowi i Tashy. Początkowo bardzo nie lubiła, kiedy któreś z nich wspominało o jej nie zwykłych zdolnościach. Z czasem jednak przyzwyczała się do przytyków Erka i nie przejmowała się nimi, pod warunkiem że nie słyszały ich niewłaściwe osoby.

Zmieniła temat.

- Dlaczego właściwie nazywają to apelem „uświadamiającym”?

- Pewnie chcą nam uświadomić istnienie jakiegoś problemu, o którym zwykle nie myślimy - powiedziała Tasha. - Pamiętasz, pierwszy był o recyklingu. Nie wiedziałam, że plastikowe butelki mogą przetrwać setki lat.

- W zeszłym tygodniu też było fajnie - zauważyła Amy.

Erie podrapał się po głowie.

- A o czym mówili?

- O głuchoniemych. Nie pamiętasz tej pani, która

pokazywała nam, jak posługuje się językiem migowym i czyta z ruchu warg? - Amy uśmiechnęła się szeroko. - Przypominacie sobie, jak zauważyła, że Jeanine skarży się komuś, że apel jest nudny? A tłumaczka powiedziała to na głos? Myślałam, że Jeanine zapadnie się pod ziemię ze wstydu.

- Niestety, żyje i ma się dobrze - skwitowała Tasha.

- Nie mów tak! Nie lubię Jeanine, ale nie życzę jej śmierci.

Tasha wzruszyła ramionami.

- Czemu nie? Założę się, że ona marzy o tym, żeby się ciebie pozbyć. Od pierwszej klasy jesteście zaprzysięętymi wrogami.

- Bo ciągle ze sobą rywalizujemy. Jak nie w konkursie ortograficznym, to na gimnastyce, i tak bez przerwy.

- Tyle że wcale nie macie równych szans - zauważyła Tasha. - Jeanine nie opiekowali się żadni naukowcy. Chociaż z drugiej strony, zawsze wydało mi się, że ma przeszczepioną osobowość. Doktora Jekylla.

- Tak naprawdę to chyba się *nie* nienawidzimy - Itwierdziła Amy. - Przynajmniej nie na tyle, żeby od razu się nawzajem zabijać.

- A teraz o co rywalizujecie? - spytał Eric .

- O nic. O to, co zwykle. Która z nas ma lepsze stopnie, ładniejsze buty, i tak dalej.

- A ten konkurs wypracowali? - wtrąciła Tasha.

Amy skinęła głową.

- Prawie o tym zapomniałam. Pani Weller namówiła kilkoro z nas, żebyśmy wzięli udział w Krajowym Konkursie Wypracowań - wyjaśniła Ericowi, - Musieliśmy w ciągu godziny napisać pracę na zadany temat, bez żadnego przygotowania.

- Kiedy poznacie wyniki? - spytał Eric .

- Nie wiem. Wszystkie wypracowania zostały wysłane do jakiegoś krajowego biura, w którym wybiera się półfinalistów. Szczerze mówiąc, temat był dość ciekawy: presja środowiska. Napisałam o tym, jak tworzą się ,^kliki*' i jak ludzie robią wszystko, żeby się do nich dostać, chociaż właściwie sami nie wiedzą po co.

- Akurat na ten temat Jeanine pewnie ma więcej do powiedzenia od ciebie - powiedziała Tasha. - Tylko spójrz na nią.

Jeanine Bryant siedziała z kilkoma innymi uczniami na schodach prowadzących do drzwi gimnazjum.

- Odkąd zaczęła kręcić się z tymi ludźmi, zachowuje się zupełnie tak jak oni - ciągnęła Tasha. - Zauważyłaś, że w zeszłym tygodniu zrobiła sobie rude pasemko we włosach? Jak wszystkie dziewczyny z tej paczki.

- A kto właściwie do niej należy? - spytała Amy, patrząc na uczniów rozwalonych na schodach. - Nie znam ich.

Tasha zawsze była lepiej poinformowana.

- To głównie ósmo- i dziewiątoklasiści - odparła,

po czym obie dziewczyny spojrzały wyczekująco na Erica. Jako dziewiątoklasista powinien być w stanie udzielić im dokładniejszych informacji.

Szkopuł w tym, że nie był szczególnie towarzyski.

- Nie wiem - rzucił. - Nie są sportowcami, ku jonami ani punkami. Pewnie to jeszcze jedna klika, jakich wiele.

Kiedy trójka przyjaciół weszła na schody, Jeanine zaczęła mówić głośniej:

- Ta impreza w sobotę była super! Przyszli sami fajni ludzie. Nikt inny nie miał wstępu.

Amy przewróciła oczami. Jeanine niewątpliwie chciała w ten niezbyt subtelny sposób pochwalić się przed nią, jaka to ona jest ważna. Pewnie myślała, że Amy pozazdrości jej popularności. Jeśli rzeczywiście o to chodziło, Jeanine była w ogromnym błędzie. Amy nie czuła zawiści. Nie obchodziło jej to, że rywalka należy do jakiejś tam paczki, a ona nie. Zdecydowanie wolała mieć mniej przyjaciół, ale za to prawdziwych. Z powodu tajemnicy, którą musiała skrywać, nie mogła wpuszczać do swojego świata przypadkowych osób.

Inna sprawa, że nie miała nic przeciwko temu, by pokonać Jeanine w tym konkursie wypracowali...

Kiedy rozległ się dźwięk dzwonka, trójka przyjaciół rozstała się. Tasha i Amy umówiły się, że spotkają się przed piątą lekcją i razem pójdą na apel. Nie musiały pytać Erica, czy się do nich przyłączy, bo wiedziały, że to absolutnie wykluczone. W gim-

nazjum obowiązywała niepisana zasada co do podziału miejsc - tak w kafeterii, jak i w sali gimnastycznej oraz innych miejscach, gdzie gromadzili się uczniowie. Nie liczyło się to, że Eric jest już w pewnym sensie oficjalnym chłopakiem Arny. Chodził do dziewiątej klasy, a ona do siódmej i mogli się spotykać tylko poza szkołą.

Dlatego też kiedy Amy weszła z przyjaciółką do sali gimnastycznej, wiedziała, że Eric siedzi gdzieś na górze razem ze swoimi kolegami z drużyny lekkoatletycznej i koszykarskiej. Dolną część trybun i ostatnie rzędy składanych krzeseł, rozstawionych na podłodze sali, zajmowali ósmoklasiści. Amy i Tasha od razu skierowały kroki do miejsc z przodu, przeznaczonych dla siódmoklasistów. Do ich uszu dobiegały okrzyki typu „Lisa, tutaj!” czy „Zaraz, zaraz, tu jest zajęte!”.

- No nie - mruknęła Tasha. - Można by pomyśleć, że te dziewczuchy pomdlałyby, gdyby przez godzinę musiały siedzieć z dala od swoich najlepszych przyjaciółek.

- To prawda - powiedziała Amy, siadając przy niej. - Mięczaki, i tyle. - Rozejrzała się, zaciękawiona, czy Jeanine starczyło odwagi, by opuścić strefę siódmoklasistów i usiąść ze swoimi starszymi przyjaciółmi. Okazało się jednak, że nawet ona nie poważyła się na to, by złamać tradycję. Siedziała w pierwszym rzędzie ze swoją przyjaciółką, Lindą Rivierą.

Amy miała zwrócić na to uwagę Tashy, kiedy

zauważyła, że ta drapie się po nadgarstku, na którym nosiła bransoletkę.

- Jeśli cię swędzi, czemu jej nie zdejmiesz? - spytała.

- Bo to paskudnie wygląda - powiedziała jej Tasha. Rozpięta zatrask srebrnej bransoletki, - Wiesz?

- Fuj. - Rzeczywiście nieprzyjemnie to wyglądało; skórę nadgarstka pokrywały małe czerwone plamki.- Jak to się stało?

- To alergia skórna- wyjaśniła Tasha. - Jestem uczulona na nikiel.

- Przecieżnosisz tę bransoletkę od zawsze. Dlaczego dopiero teraz zaczęła tak na ciebie działać? - Amy przyjrzała się szerokiej ozdobie. - Czy to nie srebro?

- Tylko z wierzchu. Zaczęło schodzić. Zobacz. - Tasha pokazała przyjaciółce wewnętrzną stronę bransoletki. Była na niej widoczna ciemna plama. - Pewnie pod spodem jest nikiel - dodała, wkładając bransoletkę z powrotem.

- Chyba nie zamierzasz jej dalej nosić?

- Muszę. Bez niej czuję się naga - powiedziała Tasha z przygnębioną miną. - Ty nie jesteś na nic uczulona, co?

- Chyba nie - przyznała jej przyjaciółka. Była to jedna z największych zalet doskonałości. Amy nigdy nie chorowała. Nie miała kataru sienneo, mogła jeść, co tylko chciała, i nosić wszystkie rodzaje biżuterii. Nie obwieszała się jednak jak choinka.

Zegarek, pierścionek z perłą, który dostała od mamy na dwunaste urodziny. No i wisiorek, oczywiście.

Jej dłoń odruchowo powędrowała do cienkiego srebrnego łańcuszka, na którym wisiał mały półksiężyc. Dostała go od wyjątkowego człowieka, doktora Jaleskiego, byłego kierownika projektu Półksiężyc. Nie żył już; jego córka powiedziała, że - według słów ojca - wisiorek miał zawsze przypominać Amy, kim jest. Bez wątpienia łatwiej było patrzeć na ten srebrny półksiężyc, niż wykręcać szyję, by zobaczyć zamię tego samego kształtu, widoczne na prawej łopatce Amy.

Dyrektorka szkoły, doktor Noble, zastukała w mikrofon.

- Czy mogłabym prosić o ciszę? Dziękuję. Witam na apelu uświadamiającym. Dzisiaj poruszymy nie zwykle poważny temat. W naszym kraju rozszalała się prawdziwa plaga, która może zniszczyć całe wasze pokolenie. Bezlitosny zabójca wniknął w nasze społeczeństwo i wybrał na swoje ofiary młodych ludzi.

Wszyscy słuchali z zaciekawieniem. Tasha nawet przestała drapać się po nadgarstku.

- Oczywiście, chodzi mi o narkotyki.

Rozległo się kilka stłumionych jęków i wszyscy odetchnęli. Na podstawie pierwszych słów doktor Noble spodziewali się, że apel będzie dotyczył jakiejś niesamowitej, nieznaney dotąd choroby. Ale narkotyki... stara śpiewka. Wszyscy wiedzieli, że są

szkodliwe, wpajano im to od wczesnego dzieciństwa, a poza tym w Parkside i tak właściwie nikt się z nimi nie stykał.

Wyglądało więc na to, że nie usłyszą nic nowego. Przez następne pół godziny lekarz opowiadał im, że narkotyki są groźne dla zdrowia, oficer policji przestrzegał, że nawet za ich posiadanie można trafić do więzienia, a specjalista z poradni dla narkomanów mówił o tym, gdzie w razie czego szukać pomocy. Wszystko było prawdą, ale uczniowie zgromadzeni na sali słyszeli to już wiele razy.

Lekkie poruszenie wywołał dopiero ostatni mówca.

- Ten facet wygląda znajomo - powiedziała Amy.

- To aktor. Grał w tym serialu, który oglądałyśmy - przypomniała jej Tasha. - Utopił się. Nie... zaraz... spadł z jakiejś góry. Coś w tym stylu. W każdym razie zniknął i od tamtej pory nie widziałam go w telewizji. Zawsze się zastanawiałam, co się z nim stało.

Jak się okazało, został narkomanem. Opowiedział swoim słuchaczom o tym, jak zaczął brać narkotyki, by mógł przebalować całą noc i wczesnym rankiem stawić się na planie filmowym.

- Zarabiałem wtedy dużo pieniędzy, ale wszystko wydawałem na narkotyki. W końcu zaczęło się niekorzystnie odbijać na mojej pracy w serialu. Zostałem zwolniony. Byłem w tak głębokiej depresji, że zacząłem brać jeszcze więcej narkotyków. A kiedy te przestały na mnie działać, spróbowałem czegoś

nowego. Ten nowy narkotyk okazał się najgorszy ze wszystkich. Na ulicy znany jest pod kilkoma nazwami, ale najczęściej mówi się na niego „tost” - powiedział aktor. - Podobno nazwa wzięła się stąd, że narkotyk pachnie jak grzanka z cynamonem. Moim zdaniem, chodzi raczej o to, że człowiek, który to bierze, smaży sobie mózg.

Opowiedział o tym, jak przez „tosta” stracił pracę, narzeczoną i dom, aż w końcu, umierający, wylądował w szpitalu. Potem zapisał się na terapię odwykową i teraz był już całkowicie wyleczonym człowiekiem. Słuchacze ożywili się dopiero w momencie, gdy zaczął opisywać szkodliwe skutki przyjmowania tego narkotyku.

- Człowiek się poci, robi mu się niedobrze, potem wymiotuje i wrywa sobie włosy z głowy.

Kiedy skończył swoją opowieść, rozległy się ciche oklaski i uczniowie zaczęli zbierać się do wyjścia.

- I co, zostałeś uświadomiona? - spytała Tasha.

- Nie bardzo - odparła Amy. - Już chyba nigdy w życiu nie wezmę do ust tostu z cynamonem. - Sięgnęła po swój plecak.

Ale apel jeszcze się nie skończył. Doktor Noble znowu podeszła do mikrofonu.

- Zanim rozejdziecie się do swoich klas, chcemy jeszcze coś ogłosić. Pani Weller powie wam, o co chodzi.

- Może poda wyniki konkursu wypracowań - mruknęła Amy i zerknęła kątem oka na Jeanine, której najwyraźniej przyszła do głowy ta sama myśl.

- Powie, kto wygrał konkurs - mówiła do Lindy.

Czy Jeanine to wie, czy tylko zgaduje? - zastanawiała się Amy. Po chwili dotarło do niej, że nie mogła usłyszeć swojej rywalki z tak dużej odległości, nawet przy swoich niezwykłych zdolnościach.

- Zdaje się, że umiem czytać z ruchu warg - szepnęła do Tashy.

Ta nie była zaskoczona. Wiedziała, że przyjaciółka potrafi nauczyć się wszystkiego na podstawie obserwacji.

Pani Weiler podeszła do mikrofonu.

- Z wielką radością ogłaszam, że nie jedna, a dwie nasze uczennice zostały finalistkami Krajowego Konkursu Wypracowani. Obie pojedą do Nowego Jorku, oczywiście na koszt organizatorów. Pogratulujmy Jeanine Bryant i Amy Candler!

Tasha wydała z siebie radosny okrzyk, a wszyscy zaczęli bić brawo. Amy czuła na sobie wzrok rywalki; niestety, nie potrafiła czytać w myślach i nie wiedziała, co Jeanine myśli. Czy była wściekła, że musi dzielić ten zaszczyt z kimś innym? Zresztą, co za różnica. Najważniejsze, że ona, Amy, pojedzie do Nowego Jorku.

Pozostawał jeszcze jeden szkopał. Tasha od razu wyczuła, w czym rzecz.

- Co powie twoja mama? - spytała, kiedy wychodziły z sali gimnastycznej. - Wiesz, że nie lubi, kiedy ściągasz na siebie uwagę.

Nie chce, żebym brała udział w olimpiadzie,

a moje zdjęcie trafiło na pudełko płatków owsianych. Ale to co innego - wyjaśniła Amy. - Zwycięstwo w konkursie wypracowań nie przynosi sławy.

Mimo to coś jej mówiło, że mama nie będzie zbyt zadowolona. Nie chciała, by Amy brała udział w jakichkolwiek zawodach, sportowych czy innych, a to dlatego, że córka we wszystkim była najlepsza. W końcu ktoś zacząłby się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje.

Rozdział drugi

Reakcja Nancy Candler na wiadomość o sukcesie córki była taka, jak należało się spodziewać - bynajmniej nieentuzjastyczna. Przewidywania Tashy sprawdziły się.

- Och, Amy - powiedziała Nancy, osuwając się na krzesło przy stole w kuchni.

Amy wiedziała, co za chwilę usłyszy, i próbowała I cii ui zapobiec.

O rety, mamó, nie jesteś ze mnie dumna? Inne maiki pogratulowałyby swoim córkom.

-- Zwyczajne matki zwyczajnych dzieci - poprawiła ją Nancy i potrząsnęła głową z dezaprobatą. - He razy ci mówiłam, żebyś...

- Wiem, wiem - przerwała jej Amy. - Mam nie zwracać na siebie uwagi. Nie powinnam się wychylać.

- To dla twojego dobra. Przecież są ludzie, którzy wciąż cię szukają.

- Mamo, oni już mnie znaleźli.

Matka nie mogła temu zaprzeczyć. Obie przeżyły tyle niezwykłych zdarzeń, wyszły cudem z tyłu opresji, że nie ulegało wątpliwości, iż Amy została zidentyfikowana. Wiedziały już, że tajemnicza organizacja stojąca za projektem Półksiężyc nie uwierzyła, że wszystkie klony zginęły przed dwunastoma laty w wybuchu laboratorium. Wybuch ten został rozmyślnie wywołany przez doktora Jaleskiego i kilkoro innych naukowców, z matką Amy włącznie. Poznali oni prawdziwy powód swoich eksperymentów - nie chodziło o dobro ludzkości, lecz o stworzenie rasy nadludzi. Klony, posiadające zdolności niedostępne zwykłym ludziom, umożliwiłyby tajemniczej organizacji zdobycie władzy nad światem. Wybuch został tak zaaranżowany, by wyglądało to na wypadek, a dzieci rzekomo zginęły w płomieniach. Tak naprawdę jednak zostały wyniesione z laboratorium i rozesłane po całym świecie. Nancy Candler przygarneła Amy - Amy Numer Siedem. Gdzie trafiły pozostałe dziewczynki? Tego Amy nie wiedziała. Spotkała tylko dwie z nich - francuską baletnicę oraz młodą gwiazdę filmową. Nie było jasne, czego organizacja chce od klonów, zresztą Amy wołała tego nie wiedzieć.

Wiedziała na pewno, że mama chce ją chronić; dlatego też jej jednej ufała. Nie wychylała się i nie demonstrowała swoich niezwykłych zdolności -a przynajmniej nie publicznie. Przestała chodzić na gimnastykę, na wuefie pozwalała innym wygrywać wszelkie wyścigi i tylko od czasu do czasu na lekcjach pierwsza zgłaszała się do odpowiedzi. Wiedziała, że nie może dopuścić, by cały świat usłyszał o tym, jak bardzo jest wyjątkowa. Nie przychodziło jej to łatwo, tym bardziej że z natury była bardzo iimbitna.

Tym razem jednak sytuacja wyglądała nieco inaczej.

- To nie ma nic wspólnego z moimi... no wiesz, zdolnościami, mamó. Pisząc to wypracowanie, musiałam wykazać się pomysłowością, a nie samą wiedzą. Poza tym wcale nie wypadłam luk rewelacyjnie. Nie jestem jedyną finalistką Ł Purkside.

Jej matka uniosła brwi.

- Tak?

- Drugą jest Jeanine Bryant. - Kto by się spodziewał, że Amy będzie zadowolona z tego, że nie wygnała z rywalką. Cóż, jeśli dzięki temu pojedzie nu finał, to nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Poza tym wyglądało na to, że mama powoli mięknie.

Amy postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Poza tym nikt nie zwraca uwagi na coś takiego jak konkurs wypracowań. Nikogo to nie interesuje.

To nie Krajowy Konkurs Ortograficzny, zwycięzców nie pokazuje się w telewizji. - Wyciągnęła broszurę z plecaka. - Pani Weller prosiła, żebym ci to dała. Tu znajdziesz wszystkie szczegóły na temat konkursu. Musisz wyrazić pisemną zgodę na mój udział.

Nancy westchnęła ciężko, ale wzięła broszurę i zaczęła ją przeglądać. Po chwili podniosła głowę.

- Nowy Jork? Finał ma się odbyć w Nowym Jorku?

- Nie mówiłam ci o tym? - spytała niewinnie Amy.

Na ustach jej matki zadrgał lekki uśmiech.

- Nie, moja droga, nie mówiłaś.

- Organizatorzy pokrywają wszystkie koszty poniesione przez uczestników i jednego opiekuna - powiedziała Amy czym prędzej. - Mogłybyśmy polecieć do Nowego Jorku i zamieszkać w dobrym hotelu, i to za darmo! Poza tym wszyscy uczestnicy mają zapewnioną wycieczkę po mieście, przejażdżkę łodzią i bilety do jednego z teatrów na Broadwayu! Mamo, jeszcze nigdy nie byłam w Nowym Jorku!

- Amy, masz dopiero dwanaście lat - przypomniała jej mama chłodno. - Ja w twoim wieku nie jeździłam do Nowego Jorku.

- Ale nie możemy stracić takiej okazji! Zastanów się, mamo! Statua Wolności, Chinatown i zakupy... no i dzieła sztuki w muzeach - dodała pospiesznie. - A poza tym, mamo, obiecuję, przyrzekam, że zrobię wszystko, by nie wygrać. - Mówiła poważnie. Nie

miała nic przeciwko temu, by przegrać z innym finalistą, pod warunkiem że nie będzie to Jeanine. Nancy wyraźnie zaczynała ustępować. Czytała broszurę z większą uwagą. Nagle zmarszczyła czoło.

- Osiemnastego...

- Wtedy są ferie wiosenne. Nie musiałabym nawet opuszczać lekcji.

Matka potrząsnęła głową; wyglądała na autentycznie zasmuconą.

- "Tego dnia zaczyna się konferencja, na którą muszę pojechać. Mówiłam ci o niej.

Amy zupełnie o tym zapomniała, mimo że pamięć miała doskonałą.

- Ta w Afryce? - spytała ponurym tonem.

Nancy skinęła głową.

- Przykro mi, Amy. To bardzo ważne spotkanie, a ja już potwierdziłam swój przyjazd. Mam wygłosić odczyt na temat biologii molekularnej, pamiętasz?

Jak mogła o tym zapomnieć? Jej matka spędziła wiele godzin w uniwersyteckim laboratorium, przygotowując materiały do odczytu.

Amy bez przekonania próbowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

- Nie musisz jechać tam ze mną - zaczęła, choć wiedziała, że to absolutnie wykluczone. Mama za żadne skarby nie puściłaby jej samej do Nowego Jorku.

Nancy było naprawdę żal córki. Wzięła ją za rękę.

- Czy ten konkurs tak wiele dla ciebie znaczy?

Dziewczyna była rozgoryczona, ale nie chciała jeszcze bardziej psuć mamie nastroju.

- Cieszyłam się przede wszystkim na podróż do Nowego Jorku - przyznała. Jednak oczami duszy widziała, jak Jeanine triumfuje na wieść o jej rezygnacji z udziału w finale. Nie był to ładny widok,

Nancy ścisnęła jej dłoń.

- Wynagrodzę ci to, kochanie. Może w wakacje pojedziemy do Nowego Jorku. Co ty na to?

- Super. - Amy zmusiła się do uśmiechu. Wzięła broszurę i niepodpisany formularz, po czym schowała papiery do plecaka. Spojrzała na zegar. - Chyba powinniśmy się zająć kolacją, co?

Tego wieczoru spodziewały się gości - mieli przyjść z wizytą Morganowie. Z myślą o Ericu Amy zamierzała przygotować specjalny deser, ciasto czekoladowe w karmelu. Rzuciła się w wir pracy, wyładowując swoją frustrację przy mieszaniu kremu.

Nagle uświadomiła sobie, że mama nic nie mówiła o tym, co Amy będzie robić w czasie jej nieobecności. Nancy na pewno nie zostawiłaby córki samej w domu. Amy miała nadzieję, że zaopiekuje się nią Monica Jackson, sąsiadka i koleżanka matki ze studiów, a nie jakaś wynajęta panienka z agencji opiekunek. Niestety, choć Nancy bardzo lubiła Monikę, uważała ją za osobę nieco nieodpowiedzialną.

Amy przyszło na myśl, że mogłaby obrócić tę sytuację na swoją korzyść. Mama na pewno miała wyrzuty sumienia z powodu pozbawienia córki szan-

sy wyjazdu do Nowego Jorku, więc pewnie dałaby się przekonać, że powinna powierzyć opiekę nad nią Monice. Amy mogłaby też delikatnie zasugerować mamie, że przydałyby jej się nowe ubrania, a do tego może te sandały na koturnach, które widziała w centrum handlowym...

Tasha, Eric i ich rodzice przyszli o siódmej. Podczas gdy Nancy nalewała drinki, Amy zawołała Erica i Tashę do kuchni, by pomogli jej nakryć stół. Przy okazji powiedziała im, że musi zrezygnować z wyjazdu do Nowego Jorku.

- A nie mówiłam, że ci nie pozwoli? - rzuciła Tasha, ale miała dość taktu, by zrobić współczującą minę.

Erie, jak zwykle, krótko i zwięźle powiedział, co myśli:

- Do kitu.
- Ma to swoje dobre strony - powiedziała Tasha.
- Jakże?
- Spędzam ferie w domu. Będziemy miały dużo czasu dla siebie.

Zważywszy na to, że i tak spędzały ze sobą dużo czasu, nie była to zbyt kusząca wizja, ale Amy pokiwała głową.

- Gdyby było ciepło, mogłybyśmy pójść na plażę.
 - Ja też tu zostaję - rzekł znienacka Eric .
- Dziewczęta spojrzały na niego ze zdumieniem.
- A co z twoim wyjazdem na kemping?
 - Kyle ma szlaban za złe stopnie. Sam nie pojedę, bo co bym tam robił?

- Mama i tak nie puściłaby cię samego - zauważyła Tasha.

Erie zignorował ją.

- No to może będziemy się spotykać - zwrócił się do Amy. - Na przykład moglibyśmy pójść na kręgle. Ciekawe, czy i w tym byłabyś najlepsza.

- Mogłabym spróbować.

- Fajnie - odparł.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Tasha jak zwykle w takich sytuacjach jęknęła i podniosła stos naczyń.

- Tylko nie stęsknijcie się za mną - powiedziała i wyszła z kuchni.

Po raz pierwszy od powrotu ze szkoły na twarzy Amy pojawił się szczery uśmiech. Miała szczęście, że spotkała kogoś takiego jak Eric . Większość chłopaków na pewno nie byłaby zadowolona z tego, że mają dziewczynę, która potrafi wszystko lepiej od nich. Jednak on był zafascynowany niezwykłymi zdolnościami Amy nawet wtedy, gdy jeszcze nie wiedział, kim ona jest naprawdę. A kiedy mu o tym powiedziała, nie zareagował obrzydzeniem. Wręcz przeciwnie, wzbudziła w nim jeszcze większy podziw.

Szybko obejrzał się przez ramię, by sprawdzić, czy nie idzie siostra. Potem podszedł do Amy i pocałował ją lekko.

Odsunęli się od siebie w samą porę. Tasha wpadła do kuchni; wyglądała na podekscytowaną.

- A ja coś wiem... - zaświergotała.

- O co chodzi? - spytała Amy.

- Na czas nieobecności twojej mamy zamieszkaś z nami.

Oczy Amy rozbłyły.

- Serio? - Takiej możliwości w ogóle nie brała pod uwagę. Morganowie opiekowali się nią, kiedy miesiąc temu mama leżała w szpitalu, więc była pewna, że Nancy tym razem nie odważy się znowu ich o to poprosić.

- Słyszałam, jak rozmawiali w salonie. Twoja mama opierała się, mówiła, że nie może im się narzucać i tak dalej, ale moja mama postawiła na swoim.

- Super! - ucieszył się Eric .

Tasha spojrzała na niego znacząco.

- Amy zamieszka w moim pokoju. - Zwróciła się I warzą do przyjaciółki. - Kiedy ci powiedzą o tym, udawaj, że jesteś zaskoczona.

Amy nie zawiodła jej.

- Mamo, to wspaniale! - pisnęła, kiedy w czasie deseru oficjalnie usłyszała tę wiadomość. - Dziękuję, pani Morgan, i panu. Obiecuję, że nie sprawię państwu kłopotów.

Nancy uśmiechnęła się.

- Mam nadzieję, że to ci choć w części wynagrodzi ten stracony konkurs.

- Jaki konkurs? - zainteresowała się pani Morgan.

- Mówiłam ci, mamo, że Amy wygrała konkurs wypracowań - wyjaśniła Tasha.

- Niczego nie wygrałam - uściśliła Amy. - We-

szałam do finału, ale nie mogę w nim uczestniczyć, bo odbywa się w Nowym Jorku w czasie ferii wiosennych. Pan Morgan rozmarzył się.

- Nowy Jork to moje ulubione miasto - rzekł. - Kiedy byliśmy tam ostatnim razem, obskoczyłem wszystkie kluby jazzowe w Greenwich Village.

- Jak to „ostatnim razem”? - zdziwił się Eric. - Nigdy nie byliśmy w Nowym Jorku.

- Mówię o mnie i o twojej mamie - sprostował jego ojciec. - Wiesz, nasze życie nie zaczęło się po waszych narodzinach.

- Od piętnastu lat nie widziałam panoramy Nowego Jorku. - Pani Morgan zamyśliła się. - Pamiętam, mieszkaliśmy w bardzo przyjemnym hotelu, przy samym Central Parku, i prawie co wieczór chodziliśmy do teatru. A te restauracje! Coś niesamowitego. - Spojrzała na męża. - Pamiętasz, jak jechaliśmy bryczką przez park? To było takie romantyczne. - Uśmiechnęła się do Nancy. - Dziewięć miesięcy później urodził się Eric.

Chłopiec skrzywił się.

- Mamo - jęknął.

- Trzeba by się tam kiedyś wybrać - powiedział pan Morgan. - Pokazać dzieciom miasto, zabrać je do teatru...

- Na mecz Knicksów - dodał Eric.

- Tasha, czemu tak trzesz nadgarstek? - spytała pani Morgan.

- Hę? Mam wysypkę od tej bransoletki. Chyba jest w niej nikiel.

- Alergia na nikiel jest dość często spotykana - stwierdziła Nancy. - Jeśli nie możesz rozstać się z bransoletką, to posmaruj ją od wewnątrz lakierem do paznokci. Zobaczysz, wysypka zaraz zniknie.

- Dobrze, dziękuję. - Tasha nagle otworzyła szeroko oczy. - A może w ferie wiosenne?

Mama spojrzała na nią tępo.

- Że co?

- Pojedźmy do Nowego Jorku w ferie wiosenne! - Tembr głosu Tashy podniósł się o całą oktawę, jak zawsze, kiedy miała doskonały pomysł. - Poważnie, zastanówcie się, byłoby świetnie! Amy pojechałaby /, nami i mogłaby wziąć udział w finale tego konkursu!

- Ależ, Tasha - odezwała się cicho Nancy. Pani Morgan patrzyła na córkę w zamyśleniu.

- Wiecie, to nie jest głupi pomysł.

- Mówisz poważnie? - spytał jej mąż, patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Ferie wiosenne zaczynają się za miesiąc, zgadza się?

- Za dwa tygodnie - poprawił ją Eric .

- Nie możemy zostawić wszystkiego i wyjechać do Nowego Jorku za dwa tygodnie! - oświadczył jego ojciec.

- Oczywiście, że nie - powiedziała szybko Nancy. - Tasha, to miło, że leży ci na sercu dobro Amy, ale...

- Nie, chwileczkę - przerwała jej pani Morgan,

wyraźnie podekscytowana. - A czemu by nie skorzystać z okazji? Nie mamy żadnych planów. Mogłabym jutro pójść do biura podróży i załatwić wszystkie formalności. Widziałam w gazecie ogłoszenie o jakichś zniżkach na bilety lotnicze. - Zwróciła się do męża; - Przydałby ci się urlop.

- Mnie też - dodał szybko Eric .

Jego ojciec prychnął.

- Twoje życie to jeden wielki urlop.

- Tatusiu, byłoby wspaniale - pisnęła Tasha. - Proszę!

Amy z trudem powstrzymała się od uśmiechu. Jej przyjaciółka zwracała się do ojca per „tatusiu” tylko wtedy, kiedy bardzo chciała go do czegoś nakłonić. Amy musiała jednak przyznać, że i ona jest podekscytowana myślą o podróży do Nowego Jorku.

- Jedno z was mogłoby pojechać tam za darmo - powiedziała. - W broszurze jest napisane, że przelot rodzica albo opiekuna jest finansowany przez organizatorów.

- Knicks, tato - dodał Eric . - Knicks!

- Pamiętasz pastrami w tej indyjskiej restauracji Carnegie Deli? - bałamuciła męża pani Morgan.

Ten wyraźnie odczuwał pokusę, by się zgodzić. Amy wyczytała to z jego twarzy.

- No cóż...

- Nie, to szaleństwo - zaprotestowała Nancy. - Nie mogę was prosić o to, żebyście zabrali Amy do Nowego Jorku!

- Ty nas o to nie prosisz - rzuciła wesoło pani

Morgan. - To my ją zapraszamy. - Trąciła męża łokciem w bok. - Prawda? To przeważyło szalę.

- Czemu nie?

Tasha i Eric zaczęli wydawać radosne okrzyki. Amy spojrzała niepewnie na matkę.

~ Mamo...?

Nancy wyglądała na zakłopotaną. Potem z jej piersi wyrwało się westchnienie i uśmiechnęła się.

- Przynieś ten formularz, który mam podpisać.

Rozdział trzeci

Za kilka minut samolot podejdzie do lądowania na lotnisku imienia Johna F. Kennedy'ego w Nowym Jorku. Pasażerowie proszeni są o zajęcie miejsc i zapięcie pasów. Prosimy też podnieść oparcia foteli do pozycji pionowej i złożyć stoliki.

Amy wysłuchała ogłoszenia i pociągnęła dźwignię umieszczoną przy fotelu. Kiedy oparcie podniosło się, oddała pustą puszkę przechodzącej stewardesie, zdjęła słuchawki i sprawdziła, czy pas jest zapięty. Wyrzła przez okno, spodziewając się zobaczyć panoramę Nowego Jorku. Samolot był jednak za wysoko, a na niebie wisały gęste chmury. Tak czy inaczej Amy była zadowolona. Lot z Los Angeles

przebiegł bez zakłóceń, jedzenie było całkiem niezłe, a pokazywany pasażerom film - śmieszny. Jak w raj.

No, prawie jak w raj.

Trąciła Erica, który otworzył oczy.

- Jesteśmy na miejscu? - spytał.

- Prawie - powiedziała Amy. - Musisz podnieść oparcie.

Odwróciła się w drugą stronę. Tasha wciąż była pochłonięta lekturą przewodnika turystycznego.

- Słuchaj, tu jest napisane, że przodkowie połowy mieszkańców Ameryki przybyli do Stanów przez wyspę Ellis. Jest tam nawet muzeum. Musimy je zwiedzić. - Otworzyła notes i dopisała wyspę Ellis do coraz dłuższej listy miejsc do zobaczenia.

Amy zajrzała jej przez ramię.

- Będziemy w Nowym Jorku tylko przez tydzień, Tasha - przypomniała przyjaciółce. - W dodatku sporo czasu zabierze mi konkurs wypracowań. Jutro rano ma się odbyć spotkanie dla uczestników, a we wtorek będzie finał. Wyniki zostaną ogłoszone w czwartek, na bankiecie.

- No to mamy mnóstwo czasu na zwiedzanie - uspokoiła ją Tasha. - Oczywiście, trzeba zobaczyć wszystkie muzea. Poza tym mamy bilety na poniedziałkowe przedstawienie *Kotów*, no i trzeba będzie iść wybrać do Rockefeller Center, a nuż dostaniemy się do programu telewizyjnego.

- A w środę idziemy na Knicksów - przypomniał Eric.

Tasha zapisała to w notesie.

- Szkoda, że to nie grudzień. Przed świętami na Rockefeller Center stawiana jest wielka choinka, można pojeździć na łyżwach... - Zawiesiła głos i zajrzała do przewodnika.

- Wiesz, nie musimy robić wszystkiego, co ona mówi - odezwał się Eric cicho.

- Masz inne pomysły? - spytała Amy.

- No, tak sobie myślałem... Może wybralibyśmy się na przejażdżkę bryczką po parku, taką, o jakiej wspominała moja mama. Tylko we dwoje.

- Mówisz poważnie? - Amy nie ukrywała zadowolienia. - Byłoby super.

- Co tak szepczecie? - zaświergotał znajomy głos.

Uśmiech Amy nieco przygasł.

- Powinnaś siedzieć na swoim miejscu, Jeanine.

- Właśnie tam idę. Do zobaczenia w Nowym Jorku!

Erie powiódł wzrokiem za dziewczyną, wracającą w podskokach na swoje miejsce. Zmarszczył nos.

- Chyba nie będzie ciągle się przy nas kręcić, co?

- Nie wiem- powiedziała Amy posępnym tonem. - Mam nadzieję, że nie, ale twoja mama może nas poprosić, żebyśmy dotrzymywali Jeanine towarzysztwa.

- Moglibyśmy obarczyć tym Tashę.

- Nie potrafiłabym zrobić czegoś takiego mojej najlepszej przyjaciółce - skarciła go Amy. Nie miała do niego jednak pretensji. Wieść o tym, że Jeanine pojedzie do Nowego Jorku z nimi, była dla nich ciężkim ciosem. Rodzice nie mogli jej towarzyszyć,

a ponieważ pani Morgan regularnie podwoziła Jeanine i Taszę na gimnastykę, pani Bryant bez skrupowania poprosiła ją o kolejną przysługę.

Zresztą Amy nie sądziła, by Jeanine chciała się z nimi zadawać... chociaż, z drugiej strony, na pewno byłaby zachwycona, gdyby mogła spędzić trochę czasu sam na sam z Erikiem. I choć Amy wiedziała, że nie jest on zainteresowany jej największą rywalką, nie zamierzała dopuścić do tego, by zmienił zdanie.

Kiedy samolot zaczął opadać ku ziemi, przyszło jej "do głowy, że przy swojej sile mogłaby bez trudu pozbyć się Jeanine. Nie chciała zrobić tej dziewczynie wielkiej krzywdy; wystarczyłby uścisk dłoni, by zmiażdżyć jej kilka kości. No i dzięki temu Jeanine nie mogłaby napisać wypracowania.

Oczywiście, Amy nie traktowała tych myśli poważnie. Z drugiej strony... Jeanine powinna się cieszyć, że ma rywalkę z zasadami.

4

Rozdział czwarty

Tasha jeszcze nigdy w życiu nie mieszkała w tak ładnym pokoju hotelowym. Właściwie nie był to pokój, tylko apartament, składający się z dwóch sypialni połączonych salonem. Przyjaciółka Amy patrzyła przez okno na widoczną dwadzieścia pięter niżej ulicę. Po chwili zajrzała do przewodnika.

- Wiecie - zaczęła - że po ulicach Nowego Jorku jeździ dwanaście tysięcy żółtych taksówek?

Odpowiedziało jej milczenie. Tasha od pewnego czasu wyliczała coraz to nowe ciekawostki, ale nikt jej nie słuchał. Pani Morgan wydawała polecenia boyowi hotelowemu, który przyniósł walizki. Jej mąż oglądał zawartość minilodówki. Eric studiował

leżącą na telewizorze kartę z listą oferowanych filmów. Amy natomiast zatopiła się w lekturze materiałów z Krajowego Konkursu Wypracowań, dostarczonych jej po przyjeździe. Tasha znów zajrzała do przewodnika.

- Wiecie, że w Nowym Jorku jest sto dwadzieścia muzeów? Spędzimy tu siedem dni; czyli na jeden dzień przypada... - Zamilkła i zaczęła obliczać to w pamięci.

Amy wyręczyła ją.

- W przybliżeniu siedemnaście przecinek czternaście muzeów.

Erie spojrział na siostrę z przerażeniem.

- Nie zamierzam zwiedzać stu dwudziestu muzeów - oznajmił twardo.

- Trzeba będzie wybrać te najciekawsze - powiedziała Tasha.

- Tasha, ty i Amy zajmiecie pokój z dwoma łózkami - oświadczyła pani Morgan. - Twój ojciec i ja będziemy w drugiej sypialni.

- A co ze mną? - spytał Eric .

- Ty zostaniesz tutaj. Będziesz spał na tej rozkładanej sofie.

- Uf, co za ulga - skwitował Eric . - A już myślałem, że każecie mi dzielić pokój z Jeanine.

Tasha i Amy wybuchnęły śmiechem, ale pani Morgan posłała mu gniewne spojrzenie.

- Nie gadaj bzdur. Jeanine ma swój pokój po drugiej stronie korytarza.

Dziewczęta odetchnęły z ulgą. Tasha bała się, że

będą musiały mieszkać z Jeanine. Nie domyśliła się, że bogaci rodzice zarezerwują swojej córce cały pokój.

- Amy, czy wszyscy uczestnicy konkursu mieszkają w tym hotelu? - spytała ją pani Morgan.

Amy wciąż jeszcze przeglądała materiały od organizatorów.

- Tak tu jest napisane. Dziś wieczorem mamy się spotkać na kolacji. Możemy przyjść z rodzinami. To znaczy, że wy też jesteście zaproszeni. - Znów spojrzała na rozkład dnia. - Kolacja zostanie podana w Niebieskiej Sali na dwudziestym pierwszym piętrze. O rany, tu jest napisane, że w konkursie bierze udział sto pięćnaście osób.

- Czy aby nie jest to kolacja tylko dla uczestników? - spytał pan Morgan.

- Nie, zaproszeni są wszyscy członkowie rodziny towarzyszący uczestnikom. A wy w tym tygodniu jesteście moją rodziną.

- 1 rodziną Jeanine - przypomniała jej pani Morgan.

Kiedy tylko się odwróciła, Amy i Tasha zaczęły udawać, że zbiera im się na wymioty.

- Stu pięćnaście uczestników plus rodziny. - Pan Morgan zamyślił się. - Mam nadzieję, że to duża sala.

I taka rzeczywiście była. Niebieska Sala okazała się salą balową, z fantazyjnymi żyrandolami zwisającymi z wysokiego sklepienia. Stało w niej co najmniej pięćdziesiąt okrągłych stołów, nakrytych

białymi obrusami. Na każdym z nich leżały kwiaty, w które powtykane były karty z numerami. Na drugim końcu sali znajdował się długi stół, a nad nim wisiał transparent z napisem: WITAMY FINALISTÓW KRAJOWEGO KONKURSU WYPRĄCOWAŃ.

- Dobrze wyglądam? - spytała Tashę Amy, wyraźnie zaniepokojona.

- Doskonale - zapewniła ją przyjaciółka. Nie były pewne, w jakich strojach inni uczestnicy konkursu przyjdą na kolację, ale postanowiły zachować swoje najszykowniejsze kreacje na bankiet kończący konkurs. Amy miała więc na sobie długą kwiecistą spódniczkę i różową jedwabną koszulę. Rozejrzawszy się, Tasha uznała, że przyjaciółka wygląda jak najbardziej stosownie. Zresztą, sama też prezentowała się niezgorzej, ubrana w jasnozieloną luźną sukienkę i dopasowany do niej sweter.

Jeanine, oczywiście, przyćmiła je obie - a przynajmniej taki miała zamiar. Była ubrana w bardzo krótką sukienkę z błyszczącego materiału, mieniacego się w świetle żyrandoli. Tasha zauważyła, że mama krzywi się z niesmakiem na widok tej kreacji, ale jako że Jeanine nie była jej córką, pani Morgan nie odezwała się ani słowem. Tashy nie wypuściłaby z pokoju w czymś takim. Zresztą ona sama uważała, że sukienka jest zbyt elegancka jak na taką uroczystość.

Amy najwyraźniej też tak sądziła.

- Jeanine, gdzie kupiłaś tę sukienkę? - spytała.
- Och, Amy, jestem pewna, że nigdy nie byłaś w tym sklepie - Jeanine obdarzyła ją pełnym wyzłości uśmiechem. - Znalazłam go w Beverly Hills. - Wygładziła materiał. - Ekspedientka powiedziała, że ta sukienka przyda mi nowojorskiej aury.

- A cóż to znaczy?- spytała Tasha.

Wyniosły uśmiech nie zniknął z twarzy Jeanine.

- To trudno wytłumaczyć. Chodzi o to, że jest się... no, tego, osobą światową. Trzeba mieć znużoną minę, jakby wszystko się już w życiu widziało. - Jeanine odwróciła się i zniknęła w tłumie.

- Dokąd ona idzie? - szepnęła Amy,

- Kogo to obchodzi? - odparła Tasha. - Pewnie myśli, że jako osoba światowa nie powinna pokazywać się z nami.

Amy energicznie pokiwała głową.

- Nie mogę uwierzyć, że chce wyglądać na znużoną. Co w tym fajnego?

- Nic. W każdym razie nie najlepiej jej to wychodzi. Dawno nie była taka podniecona.

Podszedł do nich szeroko uśmiechnięty mężczyzna z odznaką na piersi.

- Dobry wieczór! Nazywam się George Drexel i jestem współprzewodniczącym jury Krajowego Konkursu Wypracowań.

Przywitał serdecznie państwa Morganów, którzy przedstawili mu siebie, Erica i dziewczęta. Pan Drexel uściśnął im dłonie; ręką Amy potrząsał najdłużej.

- Gratuluję, że udało ci się zejść tak wysoko, młoda damo - powiedział. Życzę powodzenia! Na stole pod transparentem znajdziesz plakietkę ze swoim nazwiskiem i numer stołu, przy którym zasiądziesz ty i twoi goście.

Amy zwróciła się do Tashy:

- Pójdiesz tam ze mną?

- Zgoda.

Erie, który wyglądał, jakby nie czuł się najlepiej w marynarce i krawacie, został z rodzicami, a dziewczęta podeszły do długiego stołu. Musiały poczekać, aż uśmiechnięta kobieta skończy rozmawiać zjedną z uczestniczek konkursu i znajdzie jej plakietkę.

Stała tam też Jeanine, która rozmawiała z ożywieniem z jakąś dziewczyną. Oczywiście, nie przedstawiła koleżankom ze szkoły swojej nowej znajomej; nu szczęście ta nosiła plakietkę z napisem SARAH MILLER, NORMAN, OKLAHOMA. O dziwo, kiedy Amy wzięła swoją plakietkę, Jeanine odezwała się (lit) niej.

- Próbuję się dowiedzieć, gdzie najlepiej pójść na zakupy w Nowym Jorku - powiedziała. - Podobno SoHo jest super, prawda? - Spojrzała pytająco na dziewczynę z Oklahomy.

- To najmodniejsza dzielnica w Nowym Jorku - stwierdziła Sarah Miller. - Wybieram się tam jutro po południu. Idziesz ze mną?

- No jasne! - krzyknęła Jeanine.

Sarah spojrzała na Amy i Tashę.

A wy?

- Nie, dzięki - powiedziała Tasha. - Jutro idę do Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

Jeanine machnęła ręką.

- Strata czasu. Nowoczesną sztukę można oglądać w Los Angeles.- Spojrzała na Amy. - Może ty wolałabyś pójść z nami na zakupy?

- Nie, dzięki - odparła Amy. Pociągnęła przyjaciółkę za rękę i razem ruszyły w stronę państwa Morgan.

- Nie do wiary. Jeanine spytała nas, czy chcemy iść z nią na zakupy - mruknęła Tasha.

Amy wzruszyła ramionami.

- Może chciała zrobić dobre wrażenie na Sarah.

- Niezła z niej aktorka. Wydawało się, że naprawdę chce, żebyś z nimi poszła.

Amy uśmiechnęła się szeroko.

- Pewnie była przekonana, że odmówię. Wie, że wolę twoje towarzystwo. Nawet jeśli miałyby to oznaczać zwiedzanie stu dwudziestu muzeów.

- Dobrze, dobrze - rzuciła Tasha pojednawczo. - My też możemy pójść na zakupy. - Spojrzała na Jeanine. - Mam nadzieję, że zaprzyjaźni się z tą Sarah. Wtedy mielibyśmy z nią spokój. Jeśli dopisze nam szczęście, może zechce nawet usiąść przy jej stoliku.

Niestety, miejsca zostały przydzielone gościom już wcześniej, więc Jeanine musiała im towarzyszyć. Wciąż była szczęśliwa i podekscytowana. Siedziała obok Erica, co zapewne jeszcze bardziej poprawiło jej nastrój.

Ona nigdy nie składała broni, pomyślała Tasha. Od miesiąca próbowała poderwać Erica. Ten traktował ją dość chłodno, ale Jeanine mimo to wykorzystywała każdą okazję, by z nim po flirtować. Pewnie nie mogła przyjąć do wiadomości faktu, że istnieje chłopak, który nie jest nią zainteresowany.

Dzięki Bogu, Eric był odporny na jej wdzięki. Tasha pamiętała, jak bardzo była zaszokowana - nie, przerażona - kiedy Jeanine zaczęła ją wypytywać o brata, mówić, jaki to on jest przystojny, i dociekać, czy ma dziewczynę. Inna sprawa, że Tasha nie była /była zachwycona, gdy okazało się, iż także Amy ma na niego chrapkę.

To jednak co innego. Amy była jej najlepszą przyjaciółką, przyjaźniły się od zawsze. Inni mówili o nich „Amytasha”, jak o jednej osobie, a Eric jeszcze nie tak dawno udawał, że ich nie zauważa. One z kolei traktowały go jak wroga, a przynajmniej Jtogoś, kogo należy ignorować. Teraz jednak wszystko się zmieniło i bitwy toczony w przeszłości wydawały się tylko dziecinnymi igraszkami.

Tasha spojrzała na przyjaciółkę, która siedziała również obok Erica. Właśnie podano pierwsze danie, gęstą zupę, ale ona nawet tego nie zauważyła. Patrzyła Ericowi głęboko w oczy i słuchała go w skupieniu. To niesamowite, jak ludzie się zmieniają w okresie dojrzewania.

A Amy zmieniła się najbardziej. Ilu jest ludzi, Ittórzy w czasie dojrzewania odkrywają, że są ob-

darzeni niezwykłymi mocami? Nikt oprócz Amy...
no i jej jedenastu replik.

- Ziemia do Tashy, Tasha, zgłoś się - powiedział jej ojciec.

- Przepraszam, zamyśliłam się - wybąkała dziewczyna.

- Jedz zupeę, zanim wystygnie - polecił pan Morgan. - Jest bardzo smaczna.

Zupa jednak musiała poczekać. Od strony długiego stołu na końcu sali dobiegł tubalny głos.

- Dobry wieczór, chłopcy i dziewczęta, panie i panowie. - Wszyscy zwrócili się w stronę pana Drexela. - Witamy na trzecim dorocznym Krajowym Konkursie Wypracowań. To prawdziwe szczęście, że udało nam się zgromadzić tu tylu inteligentnych i utalentowanych młodych Judzi. Cieszymy się z waszego przybycia i mamy nadzieję, że będzie to dla was wspaniały tydzień. Nie zamierzam zanudzać was długim i męczącym przemówieniem. Na to jeszcze przyjdzie czas.

Zawiesił głos, by słuchacze mogli zaśmiać się z jego żartu. Potem kontynuował:

- Młodzi ludzie, wiem, że wszyscy trochę się denerwujecie i jesteście podekscytowani. Ale nie pozwólcie, by przeszkodziło wam to w zwiedzaniu Nowego Jorku. Pamiętajcie też, że choć tylko jedno z was może wygrać ten konkurs, sam fakt, że się tu znaleźliście, oznacza, iż jesteście wyjątkowi i wszyscy możecie uważać się za zwycięzców. A teraz życzę wam smacznego.

Rozległy się nieliczne oklaski i zgromadzeni pochylili się nad jedzeniem. Jeanne spojrzała na Taszę i na jej usta wypłynął złośliwy uśmiešek,

- Nie bądź taka markotna. Może wejdiesz do finału w przyszłym roku.

- Nawet nie wzięłam udziału w tym konkursie - powiedziała Tasha.

- Myślałam, że chcesz się zająć pisaniem - ciągnęła Jeanne.

Tasha nie chciała stracić panowania nad sobą.

- Ja już piszę - wycodziła przez zaciśnięte zęby. - Jestem korespondentką „The Parkside Journal”, zapomniałaś? Nie czytałaś mojego artykułu o filmie, który był kręcony w naszej szkole?

- Nie.

Kłamczucha, pomyślała Tasha. Wszyscy w szkole mówili, że artykuł jest świetny, i wiele osób cieszyło się z tego, że ich nazwiska pojawiły się w prawdziwej gazecie. Tasha nie posiadała się /, dumy.

A niełatwo było napisać ten artykuł. Musiała pominąć milczeniem najciekawsze wydarzenie - aktorka grająca główną rolę okazała się następną Amy. Klonem Amy. Tasha próbowała wymienić porozumiewawcze spojrzenia z przyjaciółką, ale ta wpatrywała się w swój talerz.

- Amy, zupa ci wystygnie - stwierdził pan Morgan.

- Pewnie jest zbyt zdenerwowana, żeby jeść - zauważyła Jeanine.

Amy nieco się ożywiła, słysząc słowa swojej rywalki.

- Nie jestem zdenerwowana - powiedziała. - Ja tylko... ta zupa mi nie smakuje.

- Naprawdę? - Tasha była zaskoczona. - Jest dobra. Są w niej grzyby, a ty przecież uwielbiasz grzyby.

- Tak? - rzuciła Amy niewyraźnie. Zjadła kolejną łyżkę zupy. Zmarszczyła nos.

Erie prawie już skończył swoją porcję.

- Hej, jeśli ci nie smakuje, to ją zjem.

- Dobrze - wymamrotała Amy. Wyciągnęła rękę, ale zamiast popchnąć talerz, przewróciła go i trochę zupy wylało się na stół.

- Amy, pochlapałaś się! - krzyknęła Tasha.

Jej przyjaciółka spojrzała na plamę widoczną na sukience, ale ani się nie ruszyła, ani nic nie powiedziała.

- Może lepiej idź do łazienki i zmyj tę plamę? - zasugerowała pani Morgan.

Amy podniosła się.

- Przepraszam... - Nagle zachwiała się. Eric zerwał się z miejsca i ją złapał.

- Amy! - pisnęła Tasha.

Oczy jej przyjaciółki były zamknięte, a głowa opadła na ramię. Gdyby nie Eric, runęłaby na podłogę.

- Mamo, tato, ona chyba zemdlą! - krzyknął ze strachem.

Rodzice podbiegli do niego i ostrożnie pomogli Ericowi położyć dziewczynę na dywanie.

- Amy! Amy! - krzyczała pani Morgan, ale bez efektu.

Tasha uklękła na podłodze, przy przyjaciółce.

- Odsuńcie się, żeby miała więcej powietrza - poleciła pani Morgan.

Wszyscy uczestnicy bankietu zauważyli, że coś MC stało. Podbiegł jakiś mężczyzna.

- Jestem lekarzem. Co się stało?

- Nie wiem, nagle zemdlała - wyjaśniła pani Morgan z niepokojem.

Lekarz ukląkł przy Amy.

- Czy jest na coś uczulona?

- Nie - odparła Tasha.

- Czy kiedyś już zemdlała?

Tasha zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Nie, ona nawet nigdy nie choruje.

Lekarz zacisnął palce na nadgarstku Amy.

- Ma przyspieszone tętno. Musimy zabrać ją do szpitala.

- Zadzwoń na pogotowie - powiedział pan Morgan,

- Czy to coś poważnego? - spytał Eric .

- To pewnie z nerwów - stwierdziła Jeanine.

Członkowie komisji konkursowej podeszli do Amy, ale lekarz kazał im się odsunąć. Tasha została odepchnięta na bok. Spojrzała na brata. Chyba jeszcze nigdy nie był tak blady jak w tej chwili. Wydawał się równie przerażony jak ona.

Po chwili pojawili się sanitariusze i ułożyli Amy na noszach.

- Chcę z nią pojechać! - krzyknęła Tasha.

- Ja też! - dodał Eric .

Pani Morgan przejęła kontrolę nad sytuacją.

- Nie, wy tu zostaniecie, ja z nią pojadę - powie działa pospiesznie. Następnie zwróciła się do męża. - Zadzwoń do mamy Amy, jej numer jest w mojej walizce.

Wszyscy w sali balowej podnieśli się z miejsc, usiłując zobaczyć, co się dzieje.

Jeanine i Eric poszli w ślad za sanitariuszami, a pan Morgan pobiegł szukać telefonu. Tasha nawet nie drgnęła. Była w głębokim szoku, ogarniał ją paraliżujący strach i niedowierzanie.

Pan Drexel położył dłoń na jej ramieniu.

- Nie martw się, moja droga- próbował dodać jej otuchy. - W takich okolicznościach ludzie często są spięci, bardziej, niż im się wydaje. To nie pierwszy uczestnik konkursu, który zemdlał. Jestem pewien, że twojej przyjaciółce nic się nie stanie.

On jednak niczego nie rozumiał. Inni ludzie mogli mdleć, ale nie Amy. Amy była doskonała.

5 rozdział piąty

Amy leżała na plecach. Słyszała słabe rytmiczne dudnienie, rozlegające się wśród otaczających ją grubych szyb. Za szkłem widać było jasnopomarańczowe smugi. Amy usłyszała dziwny trzask i nagle /robiło jej się ciepło, aż za ciepło... To były płomienie! Znalazła się w samym sercu pożaru!

Obudziła się z jękiem. Przed oczami nie miała ani itstkła, ani ognia - to był tylko jej stary, dobrze znany sen. Ten sam, który nawiedzał ją od dzieciństwa. Niedawno poznała jego znaczenie. Szkło to ścianka inkubatora, w którym Amy leżała zaraz po urodzeniu, u źródłem ognia był wybuch w laboratorium. Została stamtąd wyniesiona jako ostatnia. Niewiele brako-

wało, żeby zginęła. Już dawno nie miała tego snu. Co sprowadziło go tym razem?

Uprzytomniła sobie, że patrzy na biały sufit. To ją zaskoczyło. Sufit jej sypialni był niebieski... Do jej świadomości powoli zaczęły wkradać się wspomnienia. Nowy Jork, konkurs wypracowań, luksusowy hotel...

Ale to nie był pokój hotelowy. Takiego pokoju jak ten Amy jeszcze nie widziała, ale wydał się jej znajomy. Wszystko w nim było białe, a w powietrzu wisiał zapach... nie to, że nieprzyjemny, ale jakiś taki czysty, sterylny. Jak w szpitalu.

I nagle Amy ocknęła się w pełni i wróciła jej pamięć. Kolacja, sala balowa, upadek... Usiadła. Trochę kręciło jej się w głowie. Poruszyła palcami i ostrożnie podniosła nogi, jedną po drugiej. Wyglądało na to, że nie ma złamanych kości. Nie była podłączona do żadnych urządzeń i wszystkie części jej ciała wydawały się sprawne. Ostrożnie podniosła głowę. Żadnych opatrunków, żadnych ran.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które po chwili się otworzyły. Do pokoju weszła młoda zwawa kobieta w białym kombinezonie, ze stetoskopem na szyi. Na widok Amy siedzącej na łóżku uśmiechnęła się.

- Witaj w krainie żywych! Jak się czujesz?
- Chyba dobrze - powiedziała Amy. - Co się stało? Jak się tu znalazłam?
- Przywiozła cię karedca - odparła kobieta. - Zemdlałaś wczoraj podczas kolacji.

Amy nie wierzyła własnym uszom.

- Zemdlałam? To niemożliwe, jeszcze nigdy w życiu mi się to nie zdarzyło.

- No to wczoraj był pierwszy raz. Jeśli mi nie wierzysz, możesz spytać panią Morgan. Przyjechała Z tobą w karetce.

- Gdzie jest teraz?

- Wyszła przed paroma minutami. Przesiedziała Całą noc przy twoim łóżku, więc była bardzo zmęczona. Na pewno wkrótce znowu tu zajrzy. No, u teraz zobaczymy, w jakim jesteś stanie.

Kiedy kobieta pochyliła się nad nią, Amy odczytała napis na jej identyfikatorze. „TAMMY RENFROE, ilypł. pielęg.". Wygląda na kogoś o imieniu Tammy, pomyślała. Jasnowłosa trzpiotka. Kiedy matka Amy leżała w szpitalu w Los Angeles, wszystkie opiekunice się nią pielęgniarki, podobnie jak ta, tryskały optymizmem. Ciekawe, czy one muszą chodzić na najęcia z wesołości.

Tammy włożyła termometr do ust Amy, po czym [mierzyła jej tętno i ciśnienie krwi.

- No i? - wymamrotała pacjentka.

- Wygląda na to, że wszystko jest w porządku - powiedziała pielęgniarka, obdarzając ją kolejnym promiennym uśmiechem. Wyjęła termometr. - Temperatura w normie - stwierdziła.

- To mogę już sobie iść? - spytała Amy z nadzieją.

- Najpierw musi cię obejrzeć lekarz,

Amy nawet nie wiedziała, która godzina. Podniosła rękę, by spojrzeć na zegarek, ale go nie było.

- Gdzie mój zegarek?
- W depozycie, w pokoju pielęgniarek - zapewniła ją Tammy. - Przechowujemy tam wartościowe przedmioty wszystkich pacjentów. - Spojrzała na swój zegarek. - Jest ósma rano. Wczoraj nie jadłaś kolacji. Pewnie umierasz z głodu!
- Właściwie nie. No, może trochę.
- Za chwilę dostaniesz śniadanie. A teraz odpocznij sobie, dobrze? - Pielęgniarka uśmiechnęła się promiennie, mrugnęła do niej porozumiewawczo i wyszła z pokoju.

Amy położyła się i próbowała zebrać myśli. Dlaczego straciła przytomność? Ludzie, którzy mdleją, są na coś chorzy, a ona nigdy nie odczuwała żadnych dolegliwości. Co prawda nie była Supermanem. Gdyby wjechał w nią autobus, źle by się to dla niej skończyło. Nie była niezniszczalna. Miała jednak niezwykle sprawny układ odpornościowy. Powróciła myślami do poprzedniego wieczoru. Pamiętała, że jadła zupę tuż przed... czyżby nabawiła się zatrucia pokarmowego? Nie. Gdyby rzeczywiście coś z zupą było nie tak, rozchorowałoby się więcej ludzi. Eric, który pałaszował, aż mu się uszy trzęsły, już by pewnie nie żył.

Cóż, tak czy inaczej, Amy czuła się dobrze. I chciała stąd wyjść, zanim zjawi się doktor.

Nigdy w życiu nie była u lekarza, bo nie miała takiej potrzeby. Świadectwo urodzenia, szczepionki, badania wymagane przed przyjęciem do szkoły - wszystko to załatwił doktor Jaleski, Tylko jemu

można było zaufać. Zgodnie z tym, co mówiła mama, bezpieczeństwo Amy wymagało, by trzymała się z dala od lekarzy. Wszelkie szczegółowe badania mogłyby ujawnić prawdę o niej.

Dłonie Amy powędrowały do szyi. Musnęła palcami półksiężyc wiszący na naszyjniku. Na szczęście pielęgniarki nie zabrały go razem z zegarkiem. Co poradziłby jej doktor Jaleski? Wiedziała tylko, że nic może pozwolić lekarzom na przeprowadzenie jakichkolwiek testów.

Uświadomiła sobie, że pielęgniarka nie zauważyła, by jej tętno czy ciśnienie krwi odbiegały od normy. Najwyraźniej Amy nie różniła się pod tym względem od normalnych ludzi. To bardzo ciekawe...

Rozległo się pukanie do drzwi. Okazało się, że to nie lekarz, lecz dziewczyna w różowym fartuchu, niosąca śniadanie. Bez słowa położyła tacę na stoliku przy łóżku i wyszła.

Amy pomyślała, że Tammy mogłaby oddać trochę swojej radości życia tej dziewczynie, ale nie zaprzątała sobie tym głowy. Śniadanie wyglądało zbyt upetycznie, by przejmować się takimi błahostkami. Na tacy leżała jajecznica, bekon i tost z cynamonem. Zapach cynamonu przypomniał Amy szkolną pogadankę o narkotykach. Wydawało się, że to było tak dawno temu.

Jedzenie było dość smaczne. Zjadła wszystko do ostatniego okruszka. Kiedy przełknęła ostatni kęs losta, drzwi się otworzyły. Tym razem do pokoju weszła kobieta w białym kitlu, a za nią Tammy.

- Dzień dobry - powiedziała nieznajoma. - Jestem doktor Markowitz. A ty pewnie nazywasz się... - spojrzała na kartę, którą trzymała w ręku - ...Amy Candler.

- Tak. to ja. Nic mi już nie jest.

Lekarka uśmiechnęła się.

- Pozwól, że ja o tym zadecyduję, w porządku? - Wykonała te same czynności co Tammy: osłuchiwała serce pacjentki, po czym zmierzyła tętno, ciśnienie i temperaturę.

Amy prawie nie czuła jej dotyku. Gorączkowo rozmyślała o tym, jak uniknąć szczegółowych badań.

- No cóż, wszystko wydaje się w porządku - podsumowała doktor Markowitz.

Amy wypuściła powietrze z ust.

- To świetnie. Mogę już iść?

Lekarka potrząsnęła głową.

- Nadal nie wiemy, dlaczego zemdląłeś. Zgodnie z naszymi przepisami, pacjenci, którym nie możemy postawić jednoznacznej diagnozy, muszą pozostać u nas przez czterdzieści osiem godzin na obserwacji.

- Czterdzieści osiem godzin! Przecież nic mi nie jest, sama pani tak mówiła!

- To prawda, Amy - powiedziała uspokajającym tonem doktor Markowitz. - Ale strzeżonego Pan Bóg strzeże. Zajrzę do ciebie później.

Kiedy drzwi zamknęły się za lekarką, dziewczynka jęknęła głośno. Nie miała ochoty siedzieć dwa dni w szpitalu.

- Jest tu jakiś telefon? - spytała, wstając z łóżka. - Chcę zadzwonić do pani Morgan.

- Zaraz, zaraz! - Tammy położyła dłoń na jej ramieniu. - Wracaj do łóżka. Przecież ci mówiłam, że pani Morgan obiecała, że wkrótce przyjdzie tu z twoimi przyjaciółmi.

Amy posłusznie, choć niechętnie, wczołgała się pod koc. Nagle przyszło jej do głowy, że pewnie fatalnie wygląda.

- Bardzo jestem poczochrana? - spytała.

Tammy uśmiechnęła się szeroko.

- Jeśli na mnie zaczekasz, przyniosę ci lustro i szczotkę do włosów.

Po wyjściu pielęgniarki Amy wymacała z boku łóżka przycisk zmieniający jego ustawienie. Przez chwilę bawiła się nim, podnosząc dolną część, potem górną, aż wreszcie znalazła najwygodniejsze ułożenie. Wtedy poczuła się bardzo senna...

Tymczasem w apartamencie hotelowym Tasha obserwowała w skupieniu mamę, rozmawiającą przez telefon. Żałowała, że nie może słyszeć jej rozmówcy.

- Tak... tak, rozumiem. Tak, oczywiście - mówiła pani Morgan, zapisując coś na kartce. - Nie, ale ja jestem za nią odpowiedzialna. Jej matka wyjechała z kraju i nie mogę się z nią skontaktować. Dobrze... tu, wiem, znam godziny odwiedzin. Dziękuję.

- Co się dzieje, co ci powiedzieli? - spytał Eric, kiedy tylko odłożyła słuchawkę. - Czy Amy nic nie będzie?

Pani Morgan podniosła rękę, jakby chciała powstrzymać syna przed zadawaniem dalszych pytań.

- Powiem wam, czego dowiedziałam się od pani doktor. Jej zdaniem, nie jest to zatrucie pokarmowe, ale jak dotąd nie wiadomo, dlaczego Amy straciła przytomność. Może spowodował to jakiś wirus. Najważniejsze, że teraz odpoczywa i nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo.

Tasha spojrzała na brata. Obydwoje doskonale zdawali sobie sprawę, że Amy nie mógł zaszkodzić żaden zwyczajny wirus. Ich rodzice jednak nie wiedzieli o jej niezwyklej strukturze genetycznej i nie można im było o tym powiedzieć. Eric lekko kiwnął głową, jakby czytał w myślach siostry.

- Co zamierzają zrobić? - dociekał pan Morgan.

- No cóż, ta lekarka... - jego żona spojrzała na kartkę- ...doktor Markowitz powiedziała, że chce zatrzymać Amy jeszcze przez dzień, dwa na obserwacji. Możemy do niej zajrzeć. Godziny odwiedzin są od jedenastej do trzeciej. - Spojrzała na zegarek. - Wpół do dziewiątej... która godzina jest na tej wyspie, na którą pojechała Nancy?

- Leży przy wybrzeżu Afryki... to daje siedem godzin różnicy - rzekł pan Morgan. - Chyba wpół do czwartej po południu.

- Jeszcze raz spróbuję do niej zadzwonić -rzuciła pani Morgan.

- Powodzenia. - Jej mąż zasepił się. - Próbowałem dziesięć razy i nawet nie mogę uzyskać połączenia. Telefonistka powiedziała, że coś jest nie tak

z łączami. Trzeba by poprosić o pomoc kogoś z recepcji. Może dałoby się wysłać telegram.

- To idź na dół i zapytaj, a ja spróbuję zadzwonić, dobrze? - zasugerowała pani Morgan.

Kiedy ojciec wyszedł z pokoju, a matka zajęła się telefonem, Tasha kiwnęła dłonią na brata i razem ususzyli się w kącie pokoju.

- Ona nie może być chora - szepnęła.

Erie potrząsnął głową.

Po prostu nigdy dotąd nie była chora. Może istnieje jakaś specjalna choroba, na którą zapadają tylko klony, a ona o tym nie wie. To pewnie nic poważnego. Przecież ta lekarka mówiła, że chce ją tylko mieć na obserwacji, by się upewnić, *te* nic jej nie jest. - Mówił spokojnym, rzeczowym tonem, ale Tasha wyczytała z jego oczu niepokój.

- Co powinniśmy zrobić? - myślała na głos. - Może trzeba powiedzieć rodzicom, co wiemy...

Erie potrząsnął głową, zanim jego siostra zdołała dokończyć pytanie.

Na razie nic nie zrobimy - stwierdził z naciskiem. - Przecież za dwie godziny zobaczymy się / A my. Sama nam powie, jeśli coś jest nie tak.

Tasha zazwyczaj złościła się, kiedy brat mówił **jej**, co ma robić. Tym razem jednak zdawała sobie sprawę, że są po tej samej stronie barykady. Obydwoje wiedzieli, jak wielkie niebezpieczeństwo gromiłoby Amy, gdyby ktoś poznał prawdę o niej. Nawet lekarz szczerze pragnący jej pomóc na pewno opo-

wiedziałby innym o swoim odkryciu. A wtedy... Tasha wołała nawet o tym nie myśleć.

Pani Morgan odłożyła słuchawkę. Jej zmarszczone czoło wskazywało na to, że nie miała dobrych wiadomości.

- Nad wyspą, na której jest mama Amy, przechodzi jakaś straszna burza - poinformowała syna i córkę. - W ogóle nie można się z nią połączyć.

W tej chwili do pokoju wszedł pan Morgan. W recepcji uzyskał te same informacje.

- Na razie nie można się skontaktować z Nancy. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, połączenie zostanie naprawione w przeciągu następnych kilku godzin. Pozostaje nam tylko czekać.

- Nie mogę tu siedzieć i nic nie robić - oburzyła się Tasha. - Nie zamierzam czekać. Muszę zobaczyć się z Amy już teraz.

O dziwo, tym razem ojciec nie zgał jej za brak cierpliwości, jak to zwykle bywało.

- Może wybierzemy się do tego szpitala? - zaproponował. - Niektóre placówki są dość elastyczne, jeśli chodzi o godziny wizyt.

- Dobrze - zgodziła się pani Morgan. - Ale dzieci powinny zostać w hotelu.

- Nie ma mowy - powiedzieli Tasha i Eric jednocześnie.

Pani Morgan nie spierała się z nimi.

- A co z Jeanine? - spytała. - Nie możemy jej tu zostawić. - Wstała i wyszła z apartamentu. Mąż ruszył w ślad za nią.

- Amy nie będzie chciała widzieć się z Jeanine - oświadczył Eric , kiedy został sam na sam z siostrą.

- A ja nie chcę, żeby ona zbliżała się do Amy - oświadczyła Tasha ze złością. - Nie mam do niej za grosz zaufania.

- Przecież w szpitalu nie zrobi jej nic złego - zauważył Eric .

Ale może to przez nią Amy tam wylądowała - odparła ponuro Tasha.

Eric nie ukrywał zaskoczenia.

- Odbiło ci? A cóż Jeanine mogła jej zrobić?

- Nie wiem. - Tasha nie знаła odpowiedzi na to pytanie, ale lżej było obarczyć winą Jeanine. - Może rzuciła zaklęcie na Amy? - zasugerowała.

Stuknij się - ofuknął ją Eric . - Jeanine może i jest żołą, ale nie wiedźmą.

- Tak myślisz?

Wróciła pani Morgan.

- Jeanine idzie na zakupy z inną uczestniczką konkursu i jej mamą. Prosiła, żebyście powiedzieli Amy, że jest z nią myślami i ma nadzieję, że szybko dojdzie do siebie.

- Byle nie przed zakończeniem konkursu - dodała Tasha.

- Tasha - upomniała ją matka, ale przynajmniej nie traciła czasu na zbędne tyrady. - Wszyscy golowi?

Przez chwilę spierali się, czy lepiej będzie pójść do szpitala pieszo, czy zamówić taksówkę. W końcu zdecydowali się na taksówkę, ale był tak duży ruch,

że minęło prawie czterdzieści minut, zanim wóz podjechał pod gigantyczny budynek we wschodniej części miasta.

- Już prawie dziesiąta - powiedziała pani Morgan. - Chyba nas wpuszczą godzinę przed czasem.

Podeszli do okienka rejestracji i stanęli w krótkiej kolejce. Wyglądało na to, że w tym szpitalu nie przestrzega się wyznaczonej pory odwiedzin zbyt ściśle. Ludzie podawali rejestratorowi nazwiska pacjentów, a on bez ceregieli mówił, w których salach leżą.

- Przyszliśmy do Amy Candler- powiedziała pani Morgan.

Mężczyzna zwrócił się twarzą do monitora i wpisał nazwisko. Przez chwilę patrzył w milczeniu na ekran. Zmarszczył czoło.

Tasha poczuła w sercu ukłucie niepokoju.

- Co się stało? - spytała.

- Nie mam pani Chandler w rejestrze - rzekł.

- Candler, nie Chandler - poprawiła go pani Morgan. - Bez „h”. Wiem na pewno, że ona tu jest. Wczoraj tu z nią przyjechałam.

Mężczyzna znów zaczął stukać w klawisze i jego twarz rozchmurzyła się.

- Ach, jest. Amy Candler. - Po chwili znów się zasepił.

- Co znowu? - spytał Eric .

- Niestety, do pani Candler nie wolno wpuszczać żadnych gości - powiedział rejestrator.

- Żadnych gości? - Eric zbladł. - Czy to znaczy, że jej choroba jest poważna?

Tasha wydała z siebie cichy okrzyk. Pani Morgan /uchowała zimną krew.

- Nie rozumiem. Przecież jest na obserwacji.

- Nie mam żadnych innych informacji - wyjaśnił mężczyzna. - Jest napisane „zakaz odwiedzin” i tyle.

- Na którym piętrze leży? - spytał pan Morgan.

Mężczyzna wyglądał na nieco zbitego z tropu.

- Nie ma podanego numeru pokoju, więc nie Wiem.

- Chciałabym porozmawiać z lekarką, która się nią opiekuje- oświadczyła twardo pani Morgan. - Doktor Markowitz. Natychmiast.

Człowiek z rejestracji wyglądał tak, jakby bardzo chciał im pomóc.

- Zobaczę, co się da zrobić. Proszę, niech państwo dobie usiądą.

Morganowie poszli więc do poczekalni. Minęło dwadzieścia minut, zanim zjawiła się doktor Markowitz. Była z nią Tammy Renfroe.

- Przepraszam, że musieli państwo czekać, ale zajmowałam się pacjentem - powiedziała lekarka. - Proszę mi wierzyć, Amy nic nie grozi.

- To dlaczego nie możemy się z nią zobaczyć? - zapyłała pani Morgan. - Jestem za nią odpowiedzialna, a nie pozwolono mi się z nią widzieć od czasu, kiedy zostawiłam ją wczoraj w izbie przyjęć. Jeszcze niedawno mówiła pani, że trzymacie ją tu na obserwacji tylko na wszelki wypadek, że to rutynowa procedura.

Lekarka skinęła głową.

- Bezpieczeństwo Amy wymaga, żeby trochę poleżała w izolatce - wyjaśniła uspokajająco. - Jak już mówiłam, nie wiemy, dlaczego straciła przytomność. Być może przyczyną tego jest jakaś bakteryjna infekcja, która mogłaby okazać się zaraźliwa. Dopóki nie wykluczymy tej możliwości, nie możemy wpuszczać do niej żadnych gości.

- Może założylibyśmy maski szpitalne? - nie ustępowała Tasha. - Takie jak w serialu *Szpital miejski!*

Doktor Markowitz uśmiechnęła się.

- To tylko serial, moja droga, w rzeczywistości jest inaczej. Nie ma się czym martwić. Wyjaśniłam wszystko Amy, powiedziała, że rozumie. - Zapisała coś na kartce. - To bezpośredni numer oddziału, na którym leży. Możecie państwo w każdej chwili porozmawiać ze mną albo z siostrą Renfroe, a my obiecujemy, że poinformujemy państwa, gdyby stan Amy uległ jakiejś zmianie. Nie oczekuję jednak żadnych przykrych niespodzianek i jestem pewna, że za dzień, dwa będziemy mogli ją wypisać.

Mówiła z takim spokojem, że Tashy zrobiło się nieco lżej na sercu. Mimo to nie wyzbyła się jeszcze wszystkich wątpliwości.

- Mogłabym z nią chociaż porozmawiać przez telefon?

- Chcemy zapewnić jej całkowity spokój - powiedziała doktor Markowitz. - Naprawdę nie ma się czym martwić. Proszę zadzwonić dziś po południu, to dam państwu znać, jak Amy się czuje. - Doktor

Murkowitz delikatnie skierowała Morganów w stronę wyjścia.

Tasha spojrzała na Erica. On też wygląda! na ifcttniepokojonego.

- Nie mogę skontaktować się z jej matką - oznajmiła pani Morgan. - Jest na konferencji na wyspie U wybrzeży Afryki. Rozpętał się tam huragan, który pozrywał przewody telefoniczne.

- Nic nie wskazuje na to, abyśmy musieli przeprowadzać jakiegokolwiek zabiegi - zapewniła ją doktor Markowitz. - Jak już mówiłam, to rutynowa obserwacja. Nie ma się czym przejmować. Sytuacja Jest najzupełniej normalna.

Państwo Morgan sprawiali wrażenie usatysfakcjonowanych jej wyjaśnieniami, ale Tasha pozostała sceptyczna. Wiedziała, że Eric też nie do końca wierzy w zapewnienia lekarki. Bo nic, co wiązało się z Amy, nie było normalne.

6

Rozdział szósty

Amy żałowała, że w pokoju szpitalnym nie ma zegara. Nie wiedziała, która jest godzina, i czuła się zdezorientowana. Nie miała pojęcia, jak długo spała.

Spojrzała na okno. Zastony były zaciągnięte, więc nie można było stwierdzić, czy jest dzień, czy noc. Zapadła w sen zaraz po śniadaniu, chyba nie tak dawno temu.

Odrzuciła pościel, wstała z łóżka i ruszyła w stronę okna. Nie zdołała jednak tam dojść.

- Czemu chodzisz? - spytała Tammy, która weszła do pokoju z małą tacą. - Wskakuj z powrotem do łóżka, młoda damo! - Wesoły błysk w jej oku sprawił, że słowa te nie zabrzmiały groźnie.

A my wykonała polecenie pielęgniarki, ale nie była zadowolona.

- Dlaczego nie mogę wstać? Czuję się dobrze.

- Takie są zalecenia pani doktor - odparła Tammy niepewnym głosem.

- Która godzina? - spytała Amy.

Pielęgniarka spojrzała na zegarek.

- Wpół do pierwszej. Niedługo będzie lunch.

- Gdzie są państwo Morgan? Nie przyszli się ze mną zobaczyć?

- Przyszli i poszli. Nie wolno ci przeszkadzać.

- Byli tutaj, a wy nie pozwoliliście mi się z nimi zobaczyć?

Tammy parsknęła śmiechem.

- Spałaś jak zabita, kochanie.

- Kiedy tu wrócą?

- Nie jestem pewna. No, nie denerwuj się! - Pielęgniarka uśmiechnęła się. - Chyba wiem, dlaczego tak ci ich brakuje. Ten Eric to prawdziwy cukiereczek! Łączy was coś?

Mimo ogarniającego ją niepokoju, Amy uśmiechnęła się nieśmiało.

- No, tak jakby.

- Jestem pewna, że jeszcze tu przyjdą - zapewniła ją Tammy. - A teraz chcę, żebyś wzięła tę tabletkę. - Podała jej małą żółtą pigułkę i szklankę wody.

- Co to?

- Coś, co pomoże ci się odprężyć.

- Nie muszę się odpręzać. Jestem całkowicie spokojna.

Tammy spojrzała na nią z wyrzutem.

- Myślisz, że ci uwierzę? Leżysz w szpitalu, z dala od swojej rodziny i przyjaciół. Na twoim miejscu zmieniałbym się w kłębek nerwów!

- A ja wcale się nie denerwuję - przekonywała Amy.

- Proszę cię, weź tę tabletkę - nie ustępowała pielęgniarka. - Zrób to dla mnie.

- Dla ciebie?

- Jeśli będę musiała powiedzieć doktor Markowitz, że nie wzięłaś pigułki, to nakrzyczy na mnie, a nie na ciebie!

Amy nie mogła powstrzymać się od uśmiechu. Tammy była miła, choć może nieco zbyt rozszczerbotała jak na jej gust. Mimo to dziewczynka nie chciała wziąć pigułki. Wiedziała wystarczająco dużo o lekach, by zdawać sobie sprawę, że środki, po których ludzie czują się bardziej zrelaksowani, działają też usypiająco. A ona nie chciała przegapić kolejnej wizyty Morganów.

- No dobrze. - Szybkim ruchem ręki, tak by Tammy niczego nie zauważyła, wrzuciła sobie tabletkę za koszulę, po czym napiła się wody.

Pielęgniarka obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Dzisiejszy lunch będzie przepyszny. Widziałam, jak wynosili tace z kuchni - powiedziała. - Lubisz szarlotkę?

- Tak - odparła szczerze Amy. - To moje ulubione ciasto.

Tammy zniknęła za drzwiami, a dziewczynka

osunęła się na poduszki. Na pewno nie mogła narzekać na złe traktowanie, ale strasznie jej się nudziło. Dlaczego nie wolno jej było wstawać z łóżka? To jakiś nonsens. Może bali się, że upadnie i zacznie domagać się odszkodowania.

Nie miała zamiaru się przewracać. Wstała z łóżka i podeszła do okna. Rozchylając zasłony, zauważyła kraty. Nie było to dla niej zaskoczeniem. Wystarczył jeden dzień w Nowym Jorku, by zwróciła uwagę na to, że kraty są tu stałym elementem Wystroju sklepów, mieszkań i biurów, choć zwykle zabezpieczano nimi tylko okna na parterze. A pokój Amy znajdował się dość wysoko, chyba na dziesiątym piętrze. Może w Nowym Jorku grasuje Wielu włamywaczy, dostających się do budynków przez dach. A może nowojorczyki po prostu są stuknięci.

Amy odwróciła się od okna. I co teraz? Wzięła pilota do telewizora i usiadła na skraju łóżka.

Pstryk. Serial. Przez minutę Amy próbowała go oglądać, ale nie miała pojęcia, o co w nim chodzi.

Pstryk. Wiadomości o notowaniach na giełdach. Nudziarstwo.

Pstryk. Film. Kowbojski. Fuj.

Pstryk. Reklama. Jak stracić pięć kilogramów w dziesięć godzin. Nie dla mnie.

Pstryk. Pogoda. Zachmurzenie, możliwe przelotne opady.

Pstryk. I znowu serial.

No i to wszystko - pięć kanałów. Bez kablówki, bez MTV. Co za obskurny szpital. Amy padła na łóżko i wbiła wzrok w sufit.

To był jakiś absurd. Konkurs wypracowań miał się rozpocząć za dwa dni. Co mówiła ta lekarka - że Amy będzie musiała zostać tu na czterdzieści osiem godzin? Licząc od kiedy?

Gdyby mama zobaczyła, jak dobrze Amy się czuje, nakazałaby natychmiast wypisać ją ze szpitala. Pani Morgan zrobiłaby to samo. Niestety, państwo Morgan mogli zjawić się tu dopiero za dobrych kilka godzin, a ona nie mogła już dłużej czekać. Musiała się z nimi skontaktować.

Podeszła do drzwi i uchyliła je. Korytarz był pusty, więc wysliznęła się z pokoju i ruszyła na poszukiwania telefonu.

Miała szczęście. Doszła do stanowiska dyżurnej, nie natknąwszy się na nikogo. Pielęgniarka też gdzieś zniknęła. Amy przykucnęła za pulpitem i rozejrzała się. Po chwili wypatrzyła książkę telefoniczną i odszukała w niej numer hotelu, w którym mieszkali uczestnicy konkursu.

Przez cały czas nasłuchiwała odgłosu kroków albo rozmowy. Jak dotąd, panowała cisza. Amy zdjęła telefon z biurka i postawiła go na podłodze. Zaczęła wykręcać numer, ale po chwili dobiegły ją jakieś głosy. Błyskawicznie odłożyła aparat na miejsce. Wstrzymała oddech.

Rozpoznała głos doktor Markowitz. Lekarka najwyraźniej była zirytowana.

- W czym problem? Czemu to tak długo trwa? Wszystko powinno już być gotowe.

Odpowiedział jej ktoś spokojnym głosem, ale to z całą pewnością nie była Tammy.

- Obawiam się, że jedna z nich nie zjadła śniadania. Pozostałe możemy przenieść po lunchu, kiedy zasną.

Rozległ się odgłos otwieranych drzwi, po czym zapadła cisza. Mimo to Amy wołała dłużej nie kręcić nic przy stanowisku dyżurnej. Na pewno gdzieś tu był inny telefon, w bardziej odludnym miejscu. Pobiegła korytarzem i skręciła za róg.

Strzał w dziesiątkę. Na ścianie wisiał automat telefoniczny. Amy nie miała pieniędzy, ale wiedziała, że może połączyć się za darmo z kimś z centrali.

Podniosła słuchawkę. Nie usłyszała żadnego sygnału. Wcisnęła kilka guzików. Nic. Wykręciła 911. Ciągle nic.

- Co ty tu robisz?

Amy wypuściła słuchawkę z ręki. Była tak zaafektowana, że nie usłyszała kroków. Odwróciwszy się, zobaczyła doktor Markowitz.

- Musiałam zadzwonić - zaczęła Amy, ale lekarka jej nie słuchała.

- Siostró Renfroe! - krzyknęła.

Po ułamku sekundy zjawiała się Tammy.

- Czy to nie twoja pacjentka? - spytała lekarka.

Na widok Amy stojącej przy automacie Tammy zrobiła rozżaloną minę.

- Och, Amy.

Dziewczynka pokornie odłożyła słuchawkę.

- Przepraszam - powiedziała i poszła w ślad za nią do swojego pokoju.

- Chcesz, żebym przez ciebie miała kłopoty? - spytała pielęgniarka.

- Nudziło mi się - tłumaczyła się Amy, kładąc się do łóżka.

Tammy wzięła pilota i włączyła telewizor.

- To ci powinno pomóc - mruknęła. - Jeśli zaśniesz, obudzę cię, kiedy przyjdzie pani Morgan.

- Nie zasnę - zapewniła ją dziewczynka. - Nie śpię aż tak dużo.

Pielęgniarka dziwnie na nią spojrzała.

- Nie jesteś śpiąca?

- Nie, czemu pytasz?

- Tak sobie, bez powodu - odparła szybko Tammy i wyszła z pokoju.

Amy przez chwilę patrzyła w telewizor. Otworzyły się drzwi i weszła dziewczyna w różowym fartuchu, niosąca tacę.

- Cześć - powiedziała Amy. - To lunch?

Dziewczyna w milczeniu położyła tacę na stoliku i pospiesznie wyniknęła się z pokoju. Amy podniosła przykrywkę. Tammy nie skłamała - lunch naprawdę wyglądał smakowicie. Hamburger, frytki i gorąca szarlotka. Amy nie była głodna, ale ciasto pachniało wspaniale.

Nagle wstrzymała oddech i zastygła w bezruchu.

Wśród innych zapachów unosiła się zwiewna woń cynamonu. Może to wyobraźnia płatała figle...?

Przecież nawet mama dodawała cynamonu do ciast. To, że na śniadanie był tost z cynamonem, nie musiało nic znaczyć.

Z drugiej strony Amy zasnęła po śniadaniu, co nic zdarzało jej się często. I dlaczego nie wolno jej było korzystać z telefonu?

I gdzie byli Morganowie? Tasha była najlepszą przyjaciółką Amy, Eric jej chłopakiem, a państwo Morgan traktowali ją jak własne dziecko. Na pewno nie zostawiliby jej tu na tak długo.

A o co chodziło w rozmowie, którą Amy podsłuchiwała, schowana za biurkiem pielęgniarek? Nie wiele z niej rozumiała, ale te słowa brzmiały dziwnie: „...po lunchu, kredy zasną...” Kiedy kto zaśnie? Jakieś małe dzieci? W takim razie dlaczego nie było ich słychać?

Może dawała się ponieść wyobraźni. Mimo to coś ją skłoniło do tego, by wstać i zanieść tacę z jedzeniem do łazienki. Tam, z lekkim żalem, wrzuciła wszystko do sedesu i spuściła wodę. Potem położyła się w łóżku. Nie minęło kilka minut, a usłyszała zbliżające się kroki. Zamknęła oczy i znieruchomiła.

Drzwi otworzyły się. Amy wiedziała, że do pokoju wchodzi co najmniej dwóch ludzi. Usłyszała też odgłos, którego nie potrafiła zidentyfikować, coś jakby turkot kół wózka.

- Zjadła ciasto. To niezawodny sposób. Powinna spać co najmniej dwie godziny - powiedziała Tammy.

- To dobrze. - To był głos doktor Markowitz. -
Do tego czasu wszystko powinno być gotowe.

Amy poczuła, że ktoś ją podnosi. Starła się oddychać spokojnie i równo i nie otwierać oczu. Znalazła się na jakiejś płaskiej powierzchni i uświadomiła sobie, że jest gdzieś przewożona. Doktor Markowitz i Tammy nie odzywały się do siebie ani słowem. Po pewnym czasie Amy poczuła, że ktoś ją podnosi.

Znów była w łóżku. Doktor Markowitz i Tammy wyszły z pokoju.

Amy natychmiast otworzyła oczy. Było ciemno. Czekając, aż jej wzrok przyzwyczai się do mroku, zaczęła nasłuchiwać. Panowała cisza. A przynajmniej...

Coś jednak było słyhać - jakby oddech. Oddech innej osoby. A właściwie osób.

Oswoiwszy oczy z panującymi wokół ciemnościami, Amy zauważyła, że jest w długiej sali. Stało w niej osiem łóżek, włącznie z jej. Cztery pod jedną ścianą, cztery pod drugą. W każdym z nich ktoś leżał; widać było sylwetki rysujące się pod kocami. Głębokie, równe oddechy świadczyły o tym, że wszyscy śpią.

Amy ostrożnie zsunęła się na podłogę. Wstrzymując oddech, podeszła na palcach do najbliższego łóżka.

Po białym prześcieradle spływały proste kasztanowe włosy, zasłaniające twarz pacjentki. Amy podeszła do następnego łóżka. Śpiąca w nim dziew-

czynna również miała proste kasztanowe włosy. Leżała nu brzuchu, z twarzą wciśniętą w poduszkę.

Dziewczyna w następnym łóżku miała co prawda krótkie kasztanowe włosy, ale Amy zaczynała nabierać złych przeczuc. Powoli obeszła ją wkoło, by zobaczyć jej twarz. Rysy były słabo widoczne w ciemności. Amy wytężyła swój sokoli wzrok...

...i wstrzymała oddech. Dziewczyna miała zamknięte oczy, ale jej twarzy nie dało się pomylić żadną inną. Amy miała przed sobą swoją replikę. Klona.

Nie była pewna, jak długo tak stoi, wpatrzona w uśpioną dziewczynę. W końcu oderwała od niej wzrok i powłokła się w stronę łóżek po drugiej stronie pokoju. Wiedziała, kto w nich leży. Amy... następna Amy... jeszcze jedna Amy... i znowu Amy...

Może to szok sprawił, że nie usłyszała, kiedy ktoś podszedł do niej od tyłu.

- Nie zjadłaś wszystkiego, co, Amy? - spytała Tammy ze smutkiem.

Zanim dziewczynka zdążyła zareagować, poczuła im twarzy dotyk miękkiego materiału. A potem...

Pustka.

Rozdział siódmy

Tasha siedziała w niewygodnej pozycji przed telewizorem, ale nie miała pojęcia, co właściwie ogląda, i nic jej to nie obchodziło. Włączyła go w nadziei, że choć na chwilę uda jej się zapomnieć o gnębiących ją zmartwieniach. Nic z tego.

Matka wyszła z sypialni.

- Gdzie twój brat?

- Nie wiem.

Pani Morgan wpatrywała się w córkę przez chwilę.

- Gdzie masz ochotę zjeść kolację? Twój tata optuje za Chinatown. Wiem, że Eric chciałby od wiedzieć Hard Rock Cafe. A ty?

Nie jestem głodna - powiedziała Tasha.

Matka puściła jej słowa mimo uszu.

- Co powiesz na Planet Hollywood? Chociaż nie, to bez sensu. W końcu mieszkamy prawie w samym Hollywood. Powinniśmy pójść gdzieś, gdzie można zakosztować prawdziwie nowojorskiej atmosfery.

Tasha wiedziała, że mama stara się wytrącić ją z zadumy, ale sprawa wyboru restauracji była zbyt błaża, by przyćmić inne zmartwienia.

- Nie chcę kolacji, mamo.

- Tasha, nie pomożesz Amy, wstrzymując się od jedzenia - powiedziała pani Morgan. - Nie po to przyjechałaś do Nowego Jorku, żeby siedzieć w pokoju hotelowym z nosem na kwintę. Amy nie życzyła by sobie tego.

- Nie chcę nigdzie wychodzić - oświadczyła hardo Tasha. - A jeśli Amy zadzwoni?

- Dopiero co rozmawiałam z doktor Markowitz. Atny odpoczywa, a jej stan się nie zmienił. Czuje nic dobrze.

- Woląabym to usłyszeć od niej.

- Według pani doktor, jeśli wszystko dobrze pójdzie, twoja przyjaciółka jutro wieczorem zostanie wypisana ze szpitala.

- Nie zdąży na konkurs wypracowań - powiedziała Tasha posepnym tonem.

To przykre - zgodziła się jej matka. - Ale W przyszłym roku będzie mogła znowu wystartować. Zresztą nie jestem pewna, czy ten konkurs miał dla

niej takie znaczenie. Chyba bardziej cieszyła się na wyjazd do Nowego Jorku.

- Tak. I świetnie się bawi.

Jej matka westchnęła.

~ Tasha, nie bądź złośliwa. Kiedy tylko Amy wyjdzie ze szpitala, będziecie miały jeszcze sporo czasu na wspólne zwiedzanie miasta. W ciągu czterech dni można dużo zobaczyć.

Drzwi apartamentu otworzyły się i do środka wszedł Eric .

- Gdzie byłeś? - spytała pani Morgan.

- W bibliotece.

Tasha spojrzała na brata w osłupieniu. Matka zareagowała tak samo. Eric z reguły trzymał się raczej z dala od wszelkich bibliotek.

- Tej dużej, publicznej - wyjaśnił. - Przy Piątej Alei. No wiecie, tej, przed którą stoją kamienne lwy.

- A cóż ty tam robiłeś? - spytała pani Morgan. - Nie mam nic przeciwko chodzeniu do biblioteki - dodała pospiesznie. - Jestem tylko... ciekawa.

- Chciałem coś sprawdzić. - Eric zdjął kurtkę i rzucił ją na krzesło. - Na temat tego szpitala, w którym leży Amy.

- I co? - spytała Tasha.

Chłopiec wyglądał na nieco zakłopotanego.

- Chciałem się czegoś o nim dowiedzieć. No wiecie... Czy to prawdziwy szpital.

- No pewnie, że to prawdziwy szpital! - krzyknęła pani Morgan. - Przecież sam go widziałeś. Czego się spodziewałeś?

- Nie wiem - odparł, padając na sofę. - Myślałem, że może jest tam jakieś laboratorium, w którym prowadzi się eksperymenty na ludziach. Chciałem się upewnić, że Amy nie została porwana.

- Porwana! - Pani Morgan spojrzała na syna, jakby zaczynała podejrzewać, że postradał zmysły. - Po co ktoś miałby porywać Amy?

Siostra i brat popatrzyli po sobie, po czym szybko odwrócili wzrok.

- Nowy Jork to niebezpieczne miasto - odparł Eric wymijająco. - Może działa tu jakiś gang, który porywa turystów i... i handluje ich narządami.

- Erie, oglądasz za dużo science fiction - powiedziała pani Morgan stanowczym tonem. - A teraz umyj ręce. Idziemy na kolację. - Zniknęła za drzwiami sypialni. Tasha zwróciła się twarzą do brata.

- Czego się dowiedziałeś?

- To normalny szpital - przyznał Eric. - Bibliotekarka pokazała mi kilka rejestrów, w których jest wymieniony. Podobno to jeden z najlepszych szpitali w kraju. Leczą się tam sławni ludzie.

- Aha. - Tasha wiedziała, że powinna odczuć ulgę, ale była nieomal rozczarowana. Cóż, pozostawało tylko czekać, aż Amy zostanie wypisana ze szpitala.

Gdy rozległo się pukanie do drzwi, zwlokła się z sofy i poszła je otworzyć.

- Czego chcesz? - spytała, kiedy zobaczyła Jeanie.

- Twoja mama zaprosiła mnie na kolację.
- Super - mruknęła Tasha i otworzyła drzwi szerzej.

Jeanine weszła do apartamentu.

- Cześć, Eric . Co się stało? Czemu jesteś taki smutny?

Tasha nie wytrzymała. Nie mogła już dłużej dusić w sobie dręczącej ją frustracji i niepokoju.

- Oczywiście, że jest smutny, ty idiotko! - wrzasnęła. - Jego dziewczyna, a moja najlepsza przyjaciółka leży w szpitalu i martwimy się o nią! Świata poza sobą nie widzisz, co? Pewnie jesteś zadowolona z tego, co się stało! Teraz masz większą szansę wygrać konkurs!

Jeanine patrzyła na nią z otwartymi ustami. Niestety, te słowa usłyszała także pani Morgan.

- Tasha! - krzyknęła z przerażeniem.

Jeanine zerknęła kątem oka na nią, potem na jej córkę i wybuchnęła płaczem.

- Tasha, jak możesz mówić takie rzeczy?- zatkęła. - Niepokoję się o Amy tak samo jak wy! Nie spałam całą noc. Nawet nie chcę jutro pisać tego głupiego wypracowania! - Rzuciła się na krzesło i zaczęła pociągać nosem.

- Ojej -jęknęła pani Morgan i podbiegła do niej. Delikatnie pogłaskała Jeanine po głowie. - Jestem pewna, że Tasha nie chciała cię skrzywdzić. Tak bardzo się martwi o Amy, że nie wie, co mówi. Mam rację, Tasha?

Na widok rozszlochanej Jeanine Tasha poczuła

się niepewnie. Gdyby nie znała tej zołzy, mogłaby pomyśleć, że naprawdę jest jej przykro z powodu choroby Amy. Jeanine podniosła głowę; twarz miała zalaną łzami.

- Tasha, wiem, co o mnie myślisz. Myślisz, że nienawidzę Amy, ale to nieprawda! Owszem, za wsze ze sobą rywalizujemy, ale w głębi duszy da rzymy się szacunkiem, f naprawdę strasznie się 0 nią martwię!

Tasha spojrzała na brata.

- Hej, wyluzuj się- poradził Jeanine oprysk liwym tonem. Wyglądało na to, że jest mu jej trochę żal.

Nawet Tasha, mimo ogarniających ją wątpliwości, musiała przyznać, że Jeanine wyglądała na szczerze poruszoną. Jeszcze nigdy nie widziała jej w takim Itanie. Czyżby ta zmora naprawdę zaczynała się itmieniać? Może choroba Amy była dla niej takim wstrząsem, że pod jego wpływem przechodziła metamorfozę i stawała się istotą ludzką. Tasha pomyślała, że powinna dać jej szansę.

Zresztą, mama ciskała jej srogie spojrzenia.

- Tasha- syknęła. - Powiedz coś!

Tasha uświadomiła sobie, że będzie miała poważne kłopoty, jeśli nie wykona jakiegoś pojednawczego gestu. Nie wiedziała tylko jakiego. Wziąć Jeanine w ramiona i błagać ją o wybaczenie? Nigdy w życiu, lutowała, że nie ma przy niej Amy. Ona wiedziałaby, co robić.

Na samą myśl o przyjaciółce przyszedł jej do

głowy pewien pomysł. Wbiegła do sypialni i przez chwilę grzebała w górnej szufladzie szafki. Potem szybkim krokiem podeszła do wciąż pociągającej nosem Jeanine.

- Słuchaj, przepraszam cię- powiedziała, starając się ze wszystkich sił, by zabrzmiało to szczerze. - Tak bardzo się denerwuję, że nie wiem, co mówię.

Jeanine wzięła chusteczkę od pani Morgan.

- Rozumiem - odezwała się cichutko. - Co to? - spytała, wpatrując się w łańcuszek zwisający z dłoni Tashy.

- To naszyjnik Amy. Kiedy zemdląca, zabrałam go, żeby nie zginął w szpitalu. To taki amulet. - Tasha przygryzła wargę i zamyśliła się. Wciąż miała wyrzuty sumienia spowodowane tym, że doprowadziła Jeanine do łez. Musiała jakoś naprawić wyrządzoną jej krzywdę. - Mogłabyś go włożyć jutro przed konkursem. Może przyniesie ci szczęście.

Jeanine obejrzała naszyjnik. Nie wyglądała na zachwyconą - cóż, nie był wysadzany brylantami. Najważniejsze, że pani Morgan patrzyła na córkę z aprobatą.

- Czy to prawdziwe srebro? - spytała Jeanine z powątpiewaniem w głosie. - Jestem uczulona na nikiel.

- Tak? - zdziwiła się Tasha. - Ja też. Jestem pewna, że to prawdziwe srebro. Zresztą włożysz go tylko jutro. Amy na pewno będzie chciała dostać go z powrotem.

Jeanine ostrożnie wzięła naszyjnik w palce, jakby się bała, że są na nim jakieś zarazki. W końcu I trudem, bo z trudem, ale zdobyła się na uśmiech.

- Dzięki - mruknęła słodkim głosem. - Ten naszyjnik będzie mi przypominał o Amy, kiedy będę pisała wypracowanie.

- Daj, zapnę ci go - zaofiarowała się pani Morgmi. - Wszyscy gotowi do kolacji? Czekajcie, pójde pogonić waszego ojca. - Zniknęła za drzwiami sypialni.

- Wiesz co? - zagaiła Tasha, zwracając się do Jeanine. - Jeśli jesteś uczulona na biżuterię zawierającą nikiel, wystarczy, że posmarujesz część dotykającą skóry lakierem do paznokci. Wtedy na pewno nie dostaniesz wysypki.

- Tasha, ja noszę tylko srebro i złoto - rzekła Jeanine. Podbiegła w podskokach do lustra, by obejrzeć wisiołek zawieszony na jej szyi. - To wygląda nu jakąś tanią podróbkę.

Nie zmieniła się ani trochę.

Łóżka były ponumerowane od jednego do ośmiu. Na każdym wisiała kartka z cyfrą. Amy nie była w stanie dostrzec numeru swojego łóżka, ale domyślała się, że to ten sam co na bransolecie, którą ktoś Jej włożył, gdy była nieprzytomna. Siedem. Ten sam, który przydzielono jej przed dwunastoma laty w laboratorium rządowym.

Dziewczęta budziły się. Amy powiodła wzrokiem po ich twarzach. Różniły się między sobą fryzurami... i niczym więcej. Jak do tej pory, spotkała dwie swoje siostry - klony. Każde ze spotkań było dla niej zaskoczeniem, wręcz szokiem. Owszem, czasami wyobrażała sobie spotkanie z wszystkimi dwunastoma Amy. Jednak ciągle nie mogła uwierzyć, że znalazła się w jednym pomieszczeniu z siedmioma z nich. Na myśl o tym kręciło jej się w głowie, a serce wypełniały uczucia, których nawet nie potrafiła nazwać.

Patrzyła, jak dziewczęta siadają na łóżkach. Kiedy się rozglądały, na ich twarzach odbijała się cała gama doznań - szok, przerażenie, gniew, a nawet lęk.

Nikt się nie odzywał. Amy nie mogła wydobyć z siebie głosu - spodziewała się, że lada chwila wszystkie Amy zaczną się rozpląwać przed jej oczami. Panowała złowróżbna cisza.

Pierwsza odezwała się Amy Numer Pięć.

- Myślę, że... zawsze wiedziałam, że jestem inna - powiedziała.

Amy Numer Cztery podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Jej głos był cichy i łagodny, jakby mówiła tylko do siebie.

- Kiedy byłam mała, udawałam, że mam bliźniaczą siostrę, a czasami nawet dwie.

- Jak właściwie mówi się na osiem identycznych dzieci? - spytała Amy Numer Sześć. - Ośmioraczki?

- Coś w tym stylu - powiedziała Amy Numer Dwa.

Amy Numer Cztery otworzyła szeroko usta.

- Na pewno zostałyśmy rozdzielone po narodzinach!

Przez długą chwilę panowała cisza.

- Jak masz na imię? - spytała wreszcie Amy Numer Pięć, patrząc na dziewczynę siedzącą na łóżku z numerem jeden.

- Amy.

Amy Numer Dwa spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Ja też!

- I ja! - To powiedziała dziewczynka z trójką na bransoletce. Potem pozostałe po kolei podały swoje Imiona.

- Amy.

- Amy.

- Amy.

Amy Numer Pięć skinęła głową.

- Ja też mam na imię Amy. Wszystkie spojrzały wyczekująco na Amy.

- Tak, i ja mam na imię Amy - powiedziała.

Znów zapadła cisza.

- Jak to możliwe? - spytała nerwowo Amy Numer Dwa. - To nie może być zbieg okoliczności. Kto nadawałby ośmiorgu dzieciom takie tmo imię?

- W tej chwili nie to jest najważniejsze - stwierdziła Amy Numer Osiem. W jej głosie słycać było Więcej gniewu niż strachu. - Chcę wiedzieć, co my tu robimy.

Nikt nie próbował jej odpowiedzieć.

- Czy wszystkie macie znamię na łopatce? - spytała Amy. - W kształcie półksiężyca?

- Ja owszem - odparła Amy Numer Jeden. To samo powiedziały pozostałe dziewczęta. Jednak żadna nie uznała tego faktu za szczególnie znaczący. Amy uświadomiła sobie, że nie mają pojęcia, kim - albo czym - naprawdę są. Ze wszystkich zgromadzonych tu dziewcząt ona jedna znała prawdę. A przynajmniej jej część. Podobnie jak reszta dziewcząt, nie wiedziała, dlaczego je tu ściągnięto.

I gdzie były pozostałe cztery?

Drzwi sali otworzyły się i Amy Numer Trzy wydała z siebie stłumiony okrzyk. Jednak Tammy nie wyglądała ani trochę groźniej niż poprzedniego dnia. I była tak samo radosna.

- Kto zgłodniał? - spytała śpiewnym głosem.

W ślad za nią szła dziewczyna w różowym fartuchu, pchająca przed sobą długi stół na kółkach. Stały na nim duże poprzykrywane półmiski, a także talerze i sztućce.

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko samoobsłudze - ciągnęła pielęgniarka. - Uznaliśmy, że tak będzie łatwiej.

Amy przyglądała jej się z niedowierzaniem. Tammy zachowywała się jak hostessa na przyjęciu urodzinowym. Pozostałe dziewczęta też patrzyły na nią tępo. Tylko Amy Numer Pięć bez wahania wyskoczyła z łóżka.

- Co tu się dzieje? - spytała, stając przed Tarniny. - Co my tu robimy?

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze - uspokajała ją pielęgniarka. - Nie jest ci za zimno w tej koszuli?

- Czekamy na odpowiedzi! - upierała się Amy Numer Pięc, ale ta ją ignorowała.

- Pod łóżkiem masz papcie, a w szafie są szlafroki - ciągnęła.

Amy Numer Osiem wyskoczyła z łóżka i ruszyła w stronę Tammy z groźną miną..

- Powiesz nam, o co w tym wszystkim chodzi, czy mam cię do tego zmusić? - spytała.

Pielęgniarka cofnęła się o krok, wyraźnie zaniepokojona. Numer Osiem miała zaciśnięte pięści I wyglądała na wystarczająco rozwścieczoną, by ją zaatakować. Amy była ciekawa, czy ta dziewczyna zta swoje możliwości.

Numer Pięc stanęła na drodze Tammy.

- Ty tu nie rządzisz, zgadza się? - spytała.

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Jeśli chcesz się czegoś dowiedzieć, porozmawiaj doktor Markowitz. Ona może wszystko wyjaśnić.

Numer Pięc mówiła cicho, ale stanowczo.

- Chcemy się z nią zobaczyć. Natychmiast.

Tammy odzyskała zimną krew.

- Spróbuję ją znaleźć. Jedźcie kolację, dziewczęta. I włóżcie papcie, zanim się przeziębicie. - Kiwnęła ręką na dziewczynę w różowym fartuchu, która bez ulowa wyszła w ślad za nią z sali.

Przecież żadna z nas nie może się przeziębici, pomyślała Amy. Czyżby Tammy tego nie wiedziała? A może tylko Amy Numer Siedem była odporna na wszelkie choroby? Wstała z łóżka i podeszła do Numer Pięc. Ta podniosła przykrywkę, odsłaniając potrawkę z tuńczyka. Pociągnęła nosem.

- Pachnie nieźle - powiedziała.

Numer Osiem przyjrzała się potrawie z obawą.

- Ja tego pierwsza nie skosztuję.

- Jedzenie na pewno nie jest zatrute - powiedziała Amy. - Ci ludzie nie chcą nas zabić.

Numer Osiem spojrzała na nią podejrzliwie.

- Skąd ta pewność?

Amy zawahała się. Nie była pewna, czy pozostałe dziewczyny są gotowe na to, by poznać prawdę. Wymyśliła więc inne wytłumaczenie.

- Gdyby chcieli nas zabić, zrobiliby to, kiedy byłymy nieprzytomne.

Pozostałe Amy wstały z łóżek i podeszły do stołu.

- I tak nie jestem głodna - powiedziała Numer Dwa.

- Chyba wiem, dlaczego tu jesteśmy - stwierdziła nagle Numer Cztery. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku niej. - Jak już mówiłam, zostałyśmy rozdzielone po narodzinach. Naszych rodziców, a może samej matki, nie było stać na utrzymanie tylu dzieci i dlatego oddała nas do adopcji. Teraz jest bogata, więc wynajęła tę doktor Markowitz i Tammy, żeby nas uprowadziły i zebrały w jednym miejscu.

Amy była pod wrażeniem. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że jedną z posiadanych przez nią zdolności mogłaby być wybujała wyobraźnia. Może doskonała budowa genetyczna każdej Amy objawiała się w inny sposób.

- Ale czemu nadała nam takie same imiona?

Amy miała wrażenie, że pytanie to zadała Numer Dwa, choć trudno było odróżnić dziewczęta od siebie, gdy nie leżały w ponumerowanych łóżkach.

Numer Cztery zamyśliła się.

- Może to było jej ulubione imię i pomyślała sobie, że skoro i tak nie zamierza nas zatrzymać, to co za różnica, jak nas nazwie? Albo... albo to wcale nie ona nadała nam imiona. Może zrobili to nasi przybrani rodzice. W końcu Amy to dość często spotykane imię.

Numer Osiem obrzuciła ją wzgardliwym spojrzeniem.

- Ale nie aż tak.

Jedna z dziewczyn podeszła do stołu.

- Jestem głodna - powiedziała i wzięła talerz.

- Nie jedz nic - rzuciła nagle Amy. - Jeszcze nie.

- Dlaczego? Przecież sama mówiłaś, że jedzenie tu pewno nie jest zatrute. - Dziewczyna zawahała Kie. - To ty mówiłaś, prawda?

- Tak, ja, ale właśnie coś mi przyszło do głowy - powiedziała Amy. - Słuchajcie, ci ludzie czegoś od nas chcą. I jakoś nie kwapią się do tego, żeby nam powiedzieć, o co chodzi, prawda? Dlatego proponuję

nic nie robić, dopóki nie podadzą nam jakichś informacji.

- Uważasz, że nie powinniśmy jeść? - spytała Numer Pięć.

Amy skinęła głową.

- Powiemy im, że nie weźmiemy nic do ust, dopóki nam nie powiedzą, co jest grane.

- AJe ja jestem głodna - jęknęła dziewczyna stojąca przy stole. - Nie musisz jeść, jeśli nie chcesz, ale to nie znaczy, że ja też mam umierać z głodu.

- Albo wszyscy, albo nikt- upierała się Amy. - Musimy trzymać się razem. To nasz jedyny atut.

- Skąd wiesz, że ci ludzie nie są po naszej stronie? - spytała Amy Numer Pięć. - Przecież nie zrobili nam nic złego.

- Na razie - szepnęła Numer Trzy i zaczęła płakać.

Amy wbiła się wzrokiem w Numer Pięć.

- O czym ty mówisz? Uprawdzili nas, pozbawili przytomności, trzymają nas tu wbrew naszej woli. I, twoim zdaniem, nie zrobili nam nic złego?

Numer Pięć zachowała zimną krew.

- Mimo to myślę, że nie powinniśmy robić czegokolwiek, co mogłoby ich rozdrażnić. Poza tym, jeśli mamy z nimi walczyć, musimy być silne. Dlatego uważam, że trzeba coś zjeść.

- Ja też - powiedziała Numer Osiem.

Dziewczyna stojąca przy stole wzięła talerz i zaczęła nakładać sobie potrawkę z tuńczyka. Pozostałe poszły w jej ślady.

Amy była zirytowana. Cofnęła się od stołu i przyglądała się klonom, krążącym z talerzami wokół stołu. Okazało się jednak, że jej argumenty trafiły do jednej z pozostałych dziewczyn. Ona też odeszła od stołu i stanęła u boku Amy. Na jej twarzy wciąż widać było ślady łez.

- Jesteś Numer Trzy, prawda? Ja jestem Siedem.

- Myślę, że to, co mówiłaś, jest prawdą - szepnęła Numer Trzy. - Powinniśmy trzymać się razem. I nie robić tego, co ci ludzie nam każą.

- Słusznie - powiedziała Amy.

Dziewczyna zaczęła bawić się łańcuszkiem wiązającym na jej szyi.

- I tak nie jestem głodna. Za bardzo się boję.

- Niepotrzebnie. Pamiętaj, wszystkie jedziemy na tym samym wózku.

Jej nowa koleżanka znów zaczęła szlochać. Amy objęła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie. Dopiero wtedy zorientowała się, co wisi na łańcuszku Numer Trzy.

Był to półksiężyc. Taki sam jak ten, z którym nie rozstawała się Amy. Na jego widok przeżyła równie silny szok jak wtedy, kiedy się ocknęła i zobaczyła pozostałe dziewczyny.

Doktor Jaleski zrobił ten półksiężyc dla niej. Mówił, że nie ma pojęcia, gdzie są pozostałe Amy. A- nie widział ich od czasu, kiedy zostały wyniesione z laboratorium, A mimo to Amy Numer Trzy nosiła wykonany przez niego półksiężyc. Amy omiotła wzrokiem szyje pozostałych dziewcząt. Na wszyst-

kich wisały łańcuszki. Wisiorki były schowane pod koszulami. Amy nie miała jednak wątpliwości co do tego, jak wyglądają.

Doktor Jaleski podarował im wszystkim półksiężycy. Oznaczało to, że je znał. A więc okłamał Amy.

Próbowała dodać otuchy Numer Trzy, choć sama popadała w coraz większe przygnębienie. Wierzyła doktorowi Jaleskiemu; bezgranicznie mu ufała. A teraz nie wiedziała, czy kiedykolwiek jeszcze będzie w stanie komukolwiek zaufać.

8 Rozdział osmy

Przyglądając się dziewczynom pochłoniętym pałaszowaniem kolacji, Amy przypomniła sobie spotkania z dwoma innymi klonami. Nie tak dawno do jej miasta przyjechała francuska grupa baletowa z przedstawieniem *Dziadka do orzechów*; w roli Marii występowała... jedna z Amy. Niedługo potem w szkole kręcony był horror, w którym grała młoda aktorka - następna Amy. Obydwa spotkania wywoływały u niej prawdziwy szok.

Jednak to, co wtedy przeżyła, nie mogło się równać z tym, co czuła w tej chwili, gdy widziała tyle swoich klonów naraz, na wyciągnięcie ręki. Były jej siost-

rami... siostrami, o których nic nie wiedziała. A mimo to wydawało się, że wie o nich więcej niż one same.

I nie tylko dlatego żałowała, że nie może odebrać od nich oczu. Istniała inna, bardziej trywialna przyczyna. Amy doskwierał głód i ciężko jej było patrzeć, jak dziewczyny obżerają się smakołykami. Nie wiedziała, kiedy ostatnio jadła. Zdawała sobie jednak sprawę, że jeśli chce zaskarbić sobie ich zaufanie, musi dać im przykład. Jeśli twardo będzie się trzymać swoich zasad, w końcu zaczną ją szanować.

Całe szczęście, że jedna z Amy była po jej stronie - Numer Trzy. Dziewczyna przestała płakać. Patrzyła przed siebie tępo.

Amy próbowała nawiązać z nią rozmowę.

- Skąd jesteś? - spytała.
- Z Kansas - odparła Numer Trzy.

Fotograficzna pamięć Amy podsunęła jej obraz mapy Stanów Zjednoczonych.

- To w samym centrum kraju.

Numer Trzy skinęła głową.

- A my mieszkamy w samym centrum stanu.
- Jak się tu znalazłaś?

Numer Trzy przez chwilę patrzyła bez wyrazu na Amy, po czym w jej oczach pojawił się błysk zrozumienia.

- Ach, chodzi ci o to, skąd się wzięłam w Nowym Jorku? Przyjechałam tu na ferie z rodzicami i trzema braćmi.

- O rany, masz trzech braci? - zdziwiła się Amy. -
Ja jestem jedynaczką.

- Masz szczęście - stwierdziła Numer Trzy. -
Wszyscy moi bracia są starsi ode mnie i traktują
mnie jak niemowlę.

To dlatego wydajesz się taka dziecinna, pomyślała
Amy.

- Chodzisz do siódmej klasy? - spytała.

Numer Trzy potrząsnęła głową.

- Mieszkamy na farmie. W okolicy nie ma żad-
nych szkół. Mama daje nam wszystkim lekcje w do-
mu.

Czyli Numer Trzy nie mogła spędzać zbyt wiele
czasu w towarzystwie dzieci w swoim wieku - co
oznaczało, że nie miała okazji porównywać się z
rówieśnikami. Amy zaczęła przyglądać się pozo-
stałym dziewczynom. Dobiegały ją strzępki ich roz-
mów. Numer Dwa pochodziła z New Jersey. Numer
Osiem mieszkała w Nowym Jorku, w Brooklynie.
Numer Cztery, rodowita Hiszpanka, przyjechała do
Stanów w ramach programu wymiany uczniów.
Numer Pięć, z Wirginii, była w Nowym Jorku na
wycieczce. Numer Jeden śpiewała w słynnym chórze
młodzieżowym, który odbywał tournée po Stanach
Zjednoczonych. Numer Sześć mieszkała w Australii.
Podobnie jak Numer Trzy, przyjechała tu z rodziną
na wakacje.

Wyglądało na to, że wszystkie trafiły do tego
szpitala w tych samych okolicznościach. Nagle zro-
biło im się słabo... i ocknęły się w łóżku szpitalnym.

To jednak nie wystarczało, by rozwiać wątpliwości dręczące Amy. Czy to, że wszystkie osiem znalazły się w tym samym czasie w Nowym Jorku, było tylko zbiegiem okoliczności, skwapliwie wykorzystanym przez organizację? A może ściągnięto je tu w taki czy inny sposób? Jak długo będą musiały siedzieć w tym szpitalu?

I co się z nimi stanie?

A gdzie były pozostałe cztery?

Amy prawie że odczuła ulgę, kiedy weszła doktor Markowitz w towarzystwie Tammy. Za nimi pojawiła się dziewczyna w różowym fartuchu, która zabrała wózek z jedzeniem. Doktor Markowitz wyszła na środek sali, z uśmiechem zadowolenia na twarzy. Zgodnie z jej poleceniem, wszystkie dziewczęta podeszły do swoich łóżek i usiadły na nich. Nie odzywając się ani słowem, wbiły wzrok w lekarkę.

Doktor Markowitz nie owijała w bawełnę. Od razu przeszła do rzeczy.

- Domyślam się, że macie wiele pytań. Chcecie się dowiedzieć, dlaczego tu jesteście i co się z wami stanie. Zaraz wszystko wam wyjaśnię.

Nie musiała prosić ich o uwagę. Wszystkie słuchały jej w najwyższym skupieniu.

- Przed trzynastoma laty w Waszyngtonie przeprowadzony został eksperyment pod nazwą Półksiężyc. Naukowcy pobrali materiał genetyczny od ludzi wyjątkowych. Następnie na jego bazie stworzyli, sklonowali i wyhodowali embriony. To wy jesteście

końcowym rezultatem projektu Półksiężyc. Nie jesteście zwykłymi dwunastolatkami. Ludzie, których nazywacie matkami i ojcami, nie są z wami spokrewnieni. Jesteście pod każdym względem identyczne. Jako grupa jesteście wyjątkowe.

Zawiesiła głos. W sali zapadła głucha cisza. Amy próbowała wyczytać cokolwiek z twarzy jej „sióstr”. Na pewno niektóre z nich od dawna podejrzewały, że nie są zwykłymi dziewczynami.

Lekarka mówiła dalej:

- Nie jesteście potworami. Jesteście ludźmi najwyższego kalibru, lepszymi od wszystkich osób, które znacie na co dzień. Lepszymi od rodzeństwa, przyjaciół, rodziców, nauczycieli. Lepszymi od wszystkich. Możecie robić rzeczy, o których innym nawet by się nie śniło.

Zamilkła na chwilę, by sens jej słów w pełni dotarł do dziewcząt. Strach powoli znikał z ich twarzy. Na jego miejsce pojawiało się zaciekawienie.

- Ściągnęliśmy was tutaj, by ocenić rezultaty projektu Półksiężyc. W przeciągu następnych kilku dni będziecie obserwowane i badane w celu określenia stopnia waszej wyższości nad przeciętnymi ludźmi. Nie macie się czego bać. Lekarze, którzy będą was badać, są naukowcami biorącymi od początku udział w tym projekcie. Ja byłam jego kierowniczką. W pewnym sensie... - uśmiechnęła się - ...to właśnie my jesteście waszymi rodzicami. Mamy na względzie przede wszystkim wasze dobro.

Podeszła do łóżka oznakowanego piątką i usiadła.

- Wiem, że macie do mnie mnóstwo pytań.

Wszystkie Amy, jedna po drugiej, skupiły się wokół niej.

Wszystkie oprócz jednej.

Amy nie ruszyła się ze swojego łóżka. Odruchowo podniosła rękę do wisiora w kształcie półksiężyca i zaczęła go pocierać, próbując dojść do ładu z tym, co usłyszała.

Wiedziała, że doktor Markowitz nie mówi całej prawdy. To nie ona była kierowniczką projektu Półksiężyc. Tę rolę pełnił doktor Jaleski.

Po chwili do serca Amy wkradła się niepewność. Doktor Jaleski oszukał ją, twierdząc, że nie zna losu pozostałych klonów. Może kłamał też na temat swojej funkcji w projekcie Półksiężyc? Ale przecież mama mówiła, że to doktor Jaleski był jej przełożonym. W duszy Amy zrodziło się nowe potworne podejrzenie. Czyżby nie mogła ufać nawet własnej matce...? Nancy powinna być na konferencji w Afryce, ale doktor Markowitz powiedziała, że w szpitalu są wszyscy naukowcy biorący udział w projekcie. Czy miała na myśli również matkę Amy? Czy konferencja była tylko przykrywką?

Tammy wyrosła u jej boku.

- Nie masz żadnych pytań do doktor Markowitz?

- Nie.

Pielęgniarka wyglądała na zdumioną.

- Nie jesteś podekscytowana? Ja na twoim miejscu

nie mogłabym usiedzieć na miejscu! Nie rozumiem cię. I o co ci chodziło z tym strajkiem głodowym? Amy była zaskoczona.

- Skąd wiedziałaś...

Tammy nie pozwoliła jej dokończyć pytania. Pokręciła głową z dezaprobatą.

- Byłoby lepiej, gdybyś z nami współpracowała, Amy.

- Lepiej dla kogo?

W „odpowiedzi pielęgniarka tylko się uśmiechnęła i podeszła do łóżka numer pięć. Amy próbowała dyskretnie rozejrzeć się po sali. Gdzieś tu musiało być urządzenie podsłuchowe. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że Tammy wiedziała, iż Amy sugerowała pozostałym dziewczynom rozpoczęcie głodówki?

Amy bezwiednie wodziła palcem po swoim wisioru, Nagle uświadomiła sobie, że jest jakiś dziwny w dotyku, jakby bardziej szorstki. Przyjrzała mu się I zobaczyła ciemną plamę na półksiężycu. Taką samą widziała na bransoletce Tashy w miejscu, gdzie starła się warstwa srebra.

Czyli wisiorek nie był wykonany z prawdziwego srebra. Można się było tego spodziewać. Amy Numer Siedem!

Podniosła głowę. Doktor Markowitz przyglądała jej się sabcznie. Słucham?

Wydaje mi się, że wcale mnie nie słuchasz - skarciła ją lekarka.

- Oglądałam mój naszyjnik - powiedziała Amy. Doktor Markowitz uśmiechnęła się.
- Podoba ci się? To mały prezent od nas. Inna Amy przyjrzała się swojemu wisiorowi.
- Byłam ciekawa, skąd się wziął.
- Włożyłam je wam, kiedy spałyście - wyjaśniła Tammy wesoło. - Prawda, że są ładne?

Amy była zbита z tropu. Jeszcze raz spojrzała na wisior.

Pozostałe dziewczyny miały więcej pytań do doktor Markowitz.

- Jak długo tu zostaniemy? - spytała jedna z nich.
- Tylko kilka dni - zapewniła ją lekarka. - Kiedy dostaniemy wyniki badań, wróćcie do swoich rodzin.
- 1 przez cały ten czas mamy siedzieć w tej sali? - oburzyła się inna dziewczyna.
- Ależ skąd! Właśnie przygotowujemy dla was specjalną salę rekreacyjną. Po zakończeniu dzisiejszych badań będziecie mogły tam pójść.

Odezwała się kolejna Amy; w jej głosie brzmiał niepokój.

- Te badania... czy będziemy musiały dostawać dużo zastrzyków?

- Nie, skądże znowu- uspokoiła ją doktor Markowitz. Spojrzała na tabliczkę, którą miała w rękę. - Dzisiaj zbadamy wasz wzrok i słuch.

- No to pewnie ja będę pierwsza- stwierdziła jedna z dziewczyn. - Mam numer jeden. - Nie wyglądała na zbyt zadowoloną z takiego obrotu wydarzeń.

- Mogłybyśmy odbywać badania w odwrotnej kolejności - zasugerowała im inna Amy. - Ja mogę być pierwsza. Strasznie tu nudno i chcę jak najszybciej pójść do sali rekreacyjnej.

- Zgoda - powiedziała doktor Markowitz uprzejmym tonem. - Niech będzie w odwrotnej kolejności.

Numer Osiem wyszła w ślad za lekarką i Tammy z sali. Pozostałe dziewczęta zaczęły rozmawiać z żywieniem.

- Zawsze wiedziałam, że jestem inna. Czułam to!

- Dzieci mówiły, że lubię się popisywać.

- Biegam szybciej od mojego starszego brata. Strasznie go to wkurza.

Tymczasem Amy ostrożnie zdjęła naszyjnik i wsunęła go pod poduszkę. Jedna z dziewczyn zauważyła to.

- Co robisz?

Amy spojrzała na jej bransoletkę - widniała na niej piątka- po czym podniosła wzrok i położyła palce na wargach.

Zdejmij naszyjnik - powiedziała bezgłośnie. Co takiego? - spytała dziewczyna. Numer Pięć najwyraźniej nie potrafiła czytać ruchu warg.

Zdejmij naszyjnik - powtórzyła szeptem Amy z nadzieją, że nie wychwycił jej słów żaden z wisiorków.

Po co? - spytała Numer Pięć.

Ciii. Myślę, że te wisiorki to jakieś urządzenie

podsluchowe czy coś takiego - wyszeptać. - Dzięki nim ci ludzie mogą nas szpiegować.

- A po co mieliby nas szpiegować? - spytała Numer Sześć na głos, - Przecież są po naszej stronie. Nie słyszałaś, co mówiła doktor Markowitz?

Amy przewróciła oczami.

- Słyszałam, ale jej nie wierzę. - Tym razem nie mówiła szeptem. Jeśli jej podejrzenia były trafne, to zdjęcie naszyjników nie mogło już w niczym pomóc. Ten, kto podsłuchiwał rozmowy dziewcząt, musiał usłyszeć słowa Numer Sześć.

Numer Trzy zaczęła ostrożnie zdejmować naszyjnik, a Numer Cztery spojrzała na Amy z zainteresowaniem.

- Czemu nie wierzysz tej lekarce? - spytała.

- Bo nas okłamała. To nie ona była kierownikiem projektu Półksiężyc. Wiem o tym, bo moja mama brała w nim udział. Nie wiem, czego chcą od nas ci ludzie, ale możecie być pewne, że to nic dobrego. Chcą nas tylko wykorzystać.

- W jakim celu? - spytała Numer Cztery.

Amy odetchnęła głęboko. Nadszedł czas, by po wiedzieć im całą prawdę.

- Wszystko, co mówiła o nas ta kobieta... ja wiedziałam już wcześniej. Projekt Półksiężyc był...

Przerwała jej Numer Pięć.

- Czemu miałyśmy ci wierzyć?

- Bo jestem jedną z was. Musimy trzymać się

razem, nie rozumiecie tego? - mówiła Amy, szybko wyrzucając z siebie słowa. - Prawdziwi naukowcy przerwali projekt Półksiężyc, bo wiedzieli, że nie przyniesie on ludzkości nic dobrego! Celem tych, którzy finansowali badania, było stworzenie rasy panów. Chcieli zdobyć władzę nad światem! To źli ludzie. Ta doktor Markowitz i wszyscy, którzy z nią współpracują, na pewno należą do organizacji odpowiedzialnej za ten projekt.

Amy mówiła z taką żarliwością, że była pewna, iż dziewczyny jej uwierzą. Kilka z nich rzeczywiście patrzyło na nią w skupieniu, ale Numer Pięć nie pozwoliła jej dokończyć.

- Zaraz, zaraz, opanuj się - powiedziała. - Wszystkie jesteście dość zdezorientowane, nie wiemy, co jest grane... Dopiero co dowiedziałyśmy się o sobie czegoś naprawdę szokującego! Moim zdaniem, powinnyśmy być posłuszne lekarzom, przynajmniej na razie. Kiedy się dowiemy, czego chcą, zdecydujemy, czy pójść z nimi na współpracę, czy też nie. To mogłoby być dla nas nawet korzystne. Dowiemy się więcej o sobie i o naszych zdolnościach.

- Nieprawda! - krzyknęła Amy. - Nie można im ufać!

Drzwi sali otworzyły się i stanęła w nich Tammy.

- Amy Numer Siedem, twoja kolej.

Amy czuła na sobie spojrzenia wszystkich dziewczyn. Wiedziała, co musi zrobić. Potrząsnęła głową.

- Nie.
- Co takiego? - zdumiała się Tammy.
- Nie pójdę na żadne badania.
- Nie bądź uparta - powiedziała pielęgniarka. - Nie ma się czego bać. Przecież doktor Markowitz mówiła, że badania nie będą bolesne.
- Nic mnie to nie obchodzi. Odmawiam udziału w jakichkolwiek badaniach. I co, zaciągniesz mnie na nie siłą?

W sali panowała napięta atmosfera. Amy wiedziała, że nie może liczyć na wsparcie swoich sióstr klonów. Było na to za wcześnie.

- Żadnej z was nie zamierzamy do czegokolwiek zmuszać - oświadczyła Tammy. - Ale powinniście stanowić zwarty zespół, a wygląda mi na to, że ty się wyłamujesz. Dziewczęta, czy chcecie mieć w swoim gronie kogoś takiego?

- Nie - odparła Numer Pięc. - Przykro mi, Siedem, Musimy trzymać się razem, a jeśli ty nie potrafisz się dostosować... - Urwała w pół zdania. W jej głosie brzmiał autentyczny żal.

- Zgadza się zatem, że Amy Numer Siedem powinna was opuścić? - spytała Tammy.

Nikt nie odpowiedział, ale Numer Jeden i Numer Dwa pokiwały głowami. Amy spojrzała na swoją jedyną sojuszniczkę, Numer Trzy. Dziewczyna stała ze spuszczoną głową. Amy wiedziała, że nie może liczyć na jej pomoc.

Tammy otworzyła drzwi. Amy ze zwieszoną głową ruszyła w ich stronę.

- Numer Trzy, włóż naszyjnik - poleciła pielęgniarka,

Amy odwróciła się. Numer Trzy spojrzała na nią przepraszająco i posłusznie włożyła naszyjnik.

Amy ruszyła korytarzem w ślad za Tammy. Nie miała pojęcia, dokąd zostanie zabrana. Czy powinna rzucić się do ucieczki? Jej wzrok spoczął na zamkniętych drzwiach, nad którymi widniał napis WYJŚCIE. Jeśli były wykonane z jakiegoś ciężkiego metalu, nie miała szans, by je wyważyć.

Zebrała rozproszone myśli. Cokolwiek by się stało, musiała pamiętać, że jest silniejsza od Tammy, doktor Markowhiz i wszystkich innych ludzi prowadzących badania.

Pielęgniarka zatrzymała się pod drzwiami. Wyjęła klucz z kieszeni i otworzyła je.

- Od tej pory to będzie twój pokój.

- A jeśli nie zechcę tam wejść?- spytała Amy.

Tammy westchnęła ciężko.

- Ależ ty jesteś niegrzeczna. Oczywiście, nie mogę cię nigdzie zaciągnąć siłą, ale twoje siostry nie życzą sobie twojego towarzystwa. Jestem pewna, że chętnie ci pomogą wprowadzić się do nowego pokoju.

Miała słuszość. Siedem Amy na pewno poradziłoby sobie z jedną. Amy weszła do małego pomieszczenia.

- Daj znać, kiedy będziesz gotowa pójść z nami na współpracę - zaświergotała Tammy swoim śpiewnym głosem. - Może wtedy twoje przyjaciółki przy-

jmą cię z powrotem do swojego grona. Chociaż, sądząc po twoim dotychczasowym zachowaniu, nie liczyłabym na to.

Drzwi zamknęły się i Amy usłyszała trzask zamka.
Została sama.



Rozdział dziewiąty

Trudno byłoby nazwać to pomieszczenie lochem. Bardziej przypominało dużą garderobę czy też spiżarnię. Nie było w nim jednak nic, nawet krzesła, na którym można by usiąść. Czyli to się nazywa kara odosobnienia, pomyślała Amy. Przyszło jej do głowy, że nie postąpiła najmądrzej. Nie mogła pomóc w wszystkim Amy, siedząc w izolatce.

Była ciekawa, o czym w tej chwili myśli Tasha. I u powiedziano Morganom o Amy? Że jest chora, Że nie wolno jej przyjmować gości? Tasha i Eric na pewno nabraliby podejrzeń. Czy zachowali je dla siebie?

Czy powiedzieli o nich rodzicom? Czy zadzwonili do jej matki

Amy dręczyła się tymi pytaniami. Wyobraźnia podpowiadała jej coraz bardziej wymyślne i rozbudowane odpowiedzi. Przeszedł ją dreszcz. Kiedyś oglądała film o więźniu zamkniętym w izolatce. Osamotniony, pozbawiony dopływu jakichkolwiek bodźców z zewnątrz, postradał zmysły. Czy ci ludzie mieli nadzieję, że ją spotka to samo? Czy jej niezwykle zdolności ochronią ją przed szaleństwem?

Usiadła na podłodze, usiłując walczyć ze strachem, który ścisnął ją za gardło. Nie bała się stawać do boju. uciekać, walczyć... ale przerażała ją samotność taka jak teraz, w samym sercu nicości. Musiała się czymś zająć, jakoś oderwać uwagę od swojej sytuacji, coś zrobić.

Na jej twarz wypłynął uśmiech. Amy ogarnęło niesamowite poczucie wdzięczności dla Tashy, która zmusiła ją do obejrzenia filmu *Grease* co najmniej kilka razy w ciągu ostatnich kilku lat. Obie znały na pamięć każdą scenę, dialogi, słowa wszystkich piosenek. Amy bez trudu mogła opisać aktorów i ich kostiumy. Zamknęła więc oczy, przywołała obraz Johna Travolty i Olivii Newton-John, po czym zaczęła „oglądać” film w swoich myślach.

Olivia właśnie płała po ulicy w szlafroku, śpiewając *Hopelessly Devoted to You*, kiedy Amy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Do klatki weszła dziewczyna w różowym fartuchu, niosąc tacę z jedzeniem. Cóż, przynajmniej nie zamierzali jej zgłodzić.

- Co dzisiaj na lunch? - spytała Amy.

Dziewczyna bez słowa położyła tacę na podłodze i ruszyła w stronę drzwi.

- Zaczekaj! - krzyknęła Amy.

Dziewczyna nie zatrzymała się. Amy zerwała się z podłogi i złapała ją za rękę. Nie napotkała oporu.

- Kim jesteś? - spytała. - Pracujesz tutaj? Wiesz, co się dzieje?

Przyciągnęła dziewczynę do siebie, zmuszając ją do podniesienia głowy. Nie kosztowało jej to wiele wysiłku. Jednak wystarczyło jedno spojrzenie na jej twarz, by uznać, że niczego się nie dowie. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała człowieka o tak apatycznym wyrazie twarzy. Ta dziewczyna była jak robot. W jej oczach nie widać było śladu życia.

Amy odepchnęła ją i podeszła do otwartych drzwi. Korytarz był pusty, a dziewczyna w różowym fartuchu na pewno nie próbowałaby jej gonić. Ale dokąd można było uciec?

Jak się okazało, nie musiała zawracać sobie tym głowy. Zza rogu wyłoniła się Tammy. Na widok Amy zaczęła cmokać z dezaprobatą.

- Założę się, że nawet nie tknęłaś jedzenia-powiedziała.

Dziewczyna w różowym fartuchu bez słowa przeszła między nimi i ruszyła korytarzem.

- Co jej jest? - spytała Amy.

- To nie twój interes, panno Ciekawska. Wracaj do swojego pokoju,

Amy postawiła się.

- Nie chcę dłużej tam siedzieć.

- A będziesz grzeczna? Zacziesz wreszcie z nami współpracować?

- Tak. - Amy czuła się jak rozwydrzona pięć latka, wyrażająca skruchę z powodu przedszkolnych wybryków.

Tammy grała rolę dobrotliwej, wyrozumiałej nauczycielki.

- Dobrze więc, moja droga. - Wyjęła z kieszeni wisiołek w kształcie półksiężyca i włożyła go na szyję Amy, która nie próbowała się temu sprzeciwić. - Proszę bardzo - powiedziała z zadowoleniem. - Teraz jesteś taka jak twoje siostry.

Odprowadziła Amy do sypialni. Zostały tam już tylko dwie dziewczyny - Numer Jeden i Numer Dwa. Spojrzały z niepokojem na Amy.

- Co ci zrobili? - spytała Numer Jeden.

- Nic.

Numer Dwa zwróciła się do Amy Numer Jeden:

- A nie mówiłam? Oni wcale nie chcą zrobić nam krzywdy. Nie wiem, jak wy, ale ja jestem strasznie podekscytowana! Pomyślcie tylko, czego możemy dokonać. A oni w tym pomogą! I tak nie mogą nam zrobić nic złego. - Wyszczrzyła zęby w uśmiechu. - Bo jeśli to, co mówią, jest prawdą, to jesteśmy od nich silniejsze.

W drzwiach sypialni stanęła dziewczyna w różowym fartuchu. Wskazała palcem Numer Dwa.

- No to na razie - powiedziała Numer Dwa wesoło i wyszła z sali.

Amy Numer Siedem i Numer Jeden usiadły na

łózkach naprzeciwko siebie. Numer Jeden dotknęła swojego wisiora i spojrzała na Amy pytająco. Ta wzruszyła ramionami.

- Może - powiedziała tylko.

Numer Jeden wyglądała na zaniepokojoną. Gdyby tylko Amy ośmieliła się porozmawiać z nią szczerze, mogłaby zyskać w niej sojuszniczkę. A może nawet przyjaciółkę.

- Słyszałam, że śpiewasz w chórze - powiedziała.

Numer Jeden skinęła głową i jej oczy rozbłysły.

- Uwielbiam śpiewać. Ty też?

- Nigdy nie próbowałam - przyznała Amy. - Chyba nie mam talentów artystycznych. - Szkoda, że nie mogła opowiedzieć jej o tym, jak niedawno próbowała zastąpić w filmie aktorkę Amy (która przedstawiała się jako Aimee). Skończyło się na tym, że została wyrzucona z planu.

- Ale podobno jesteśmy identyczne - powiedziała Numer Jeden. - Powinniśmy mieć te same umiejętności.

- Może mamy taki sam potencjał - przyznała Amy. - Ale pewnie ważniejsze jest to, w jaki sposób byliśmy wychowywane. Czy twoi rodzice są artystami?

Numer Jeden skinęła głową.

- Mój ojciec jest muzykiem, a mama daje lekcje baletu. Na pewno sporo się od nich nauczyłam, jesteśmy sobie bardzo bliscy. - Zawiesiła głos. - Zawsze wiedziałam, że zostałam adoptowana. Czuję, że jestem inna... na przykład, mam wyjątkowo

dobry wzrok. Latem, kiedy jeździmy z rodzicami na wakacje, to ja zawsze wypatruję znaków drogowych. Wszyscy żartowali ze mnie, że sięgam wzrokiem na wiele kilometrów. Ale to nie żart. prawda?

- Nie. To nie żart.

Numer Jeden patrzyła na Amy w zamyśleniu.

- Czujesz się teraz jakoś inaczej?

- To znaczy?

- Teraz, kiedy już wiesz, kim... czym... jesteś.

Amy ścisnęła w palcach półksiężyc, w nadziei, że w ten sposób uniemożliwi podsłuchanie ich rozmowy.

- Wiedziałam to już wcześniej. Pamiętasz? Mówiłam wam o tym.

- Ach, rzeczywiście! To ty mówiłaś, że ta lekarka kłamie! - Numer Jeden nachyliła się do Amy. - Mam do ciebie mnóstwo pytań.

Amy potrząsnęła głową i lekko uniosła wisiorek. Numer Jeden w lot zrozumiała, o co chodzi, i zmarskotniała. Po chwili w drzwiach pojawiła się dziewczyna w różowym fartuchu i wskazała ją palcem.

- Jak ona nas odróżnia? - spytała szeptem.

- Nie wiem - odparła Amy. - Może odczytuje numery na naszych bransoletach.

- Musiałaby być taka jak my.

Amy spojrzała na milczącą dziewczynę o matowych oczach. Ta nie okazywała zniecierpliwienia. Stała w bezruchu, nie opuszczając wyciągniętej ręki.

Wkrótce po wyjściu Numer Jeden dziewczyna w różowym fartuchu wróciła do sypialni i wyciągnęła

palec w stronę Amy. Następnie zaprowadziła ją korytarzem do jakiegoś pomieszczenia. Był tam mężczyzna w białym kitlu.

- Ty jesteś Amy Numer Siedem? - spytał niewyraźnie.

- Tak. A jak pan się nazywa?

Mężczyzna wymamrotał coś, co zabrzmiało jak „doktor Zuzu”, i gestem ręki nakazał Amy, by usiadła w fotelu.

Próbowała nawiązać z nim rozmowę.

- Czy pan też brał udział w projekcie Półksię żyć? - spytała.

Mężczyzna skinął głową. Wyłączył światła. Na ścianie wisiała podświetlana tablica do badania wzroku.

Mężczyzna znów zaczął coś mamrotać. Amy domyśliła się, że kazał jej czytać litery z tablicy. Nie miała z tym żadnych kłopotów. Po chwili wcisnęła jakiś guzik i pojawiła się następna seria liter, tym razem mniejszych. Potem powtarzał tę samą czynność, aż litery na tablicy stały się wręcz mikroskopijne. Mimo to Amy bez kłopotu potrafiła je odczytać.

Badanie słuchu też zapowiadało się rutynowo. Amy wzięła słuchawki, a lekarz zaczął majstrować przy czymś, co przypominało nowoczesny magnetofon. Z tego, co zrozumiała z jego poleceń, wynikało, że ma dać mu znać, w którym uchu słyszy głośniejszy dźwięk.

Następnie mężczyzna zaczął wciskać guziki i kręcić jakimiś pokrętłami. Pierwsze odgłosy były wyraź-

ne i łatwo rozpoznawalne - dzwonek, szczekanie psa, bicie w bęben. Potem stały się nieco cichsze i mniej uchwytnie. Jeden z nich przywodził na myśl szelest zgniatanego papieru, a inny tupot nóg w kapciach.

Po chwili Amy usłyszała w jednym uchu odgłos przypominający brzęczenie pszczoły. Właściwie kilku pszczoł... kilku w jednym uchu, kilkunastu w drugim. Potem dźwięk ten przerodził się w brzęczenie całego roju. To było nie do zniesienia. Hałas wdzierał się w jej uszy, narastając z każdą sekundą, aż Amy poczuła się tak, jakby była w samym sercu ula, razem z pszczołami. Otoczona przez pszczoły.

Zaciskając dłonie na poręczach fotela, próbowała dać lekarzowi do zrozumienia, że coś jest nie tak. Jednak mężczyzna wciąż majstrował przy urządzeniu. Teraz Amy nie tkwiła już w ulu - to pszczoły tkwiły w niej. Hałas stał się ogłuszający.

Wypełniał jej głowę, ciało, przeszywał silnym bólem. Amy miała wrażenie, że czuje ukąszenia żadeł. Milionów żadeł.

Chciała zerwać słuchawki z uszu, ale nie mogła się ruszyć. Hałas sparaliżował ją. Przecież ten człowiek musiał to słyszeć! Jego twarz jednak była jak wyciosana z kamienia.

Amy próbowała krzyczeć, ale poczuła przez to jeszcze silniejszy ból. Nie panikuj, mówił jakiś głos w głębi duszy, słyszalny pośród przeraźliwego hałasu. Możesz nad tym zapanować - możesz zdecydować, co chcesz słyszeć.

Skupiła całą uwagę na tym głosie i zaczęła walczyć z bólem i hałasem. Nie mogła go wymazać, ale siłą woli potrafiła go stłumić, zmienić natarczywe brzęczenie w swego rodzaju irytujące tło dźwiękowe, niezwykle nieprzyjemne, ale nie tak straszne jak do tej pory. Nie wiedziała, jak długo będzie w stanie tłumić ten hałas, kiedy znów przerodzi się on w potężną siłę...

I nagle było po wszystkim. Cisza, cudowna cisza. Amy powoli zaczęła dochodzić do siebie.

Zerwała słuchawki z głowy. Wciąż brzęczało jej w uszach, ale wiedziała, że najgorsze ma już za sobą. Z trudem wydobyła z siebie głos.

- Co pan próbował ze mną zrobić?! - krzyknęła.

Mężczyzna nie patrzył na nią, tylko studiował jakiś wydruk z urzędnictwa.

- Co pan robił?! - krzyknęła ponownie.

Mężczyzna nie zareagował; nawet nie drgnął. Wtedy Amy uprzytomniła sobie, dlaczego hałas mu nie przeszkadzał, dlaczego tak trudno było zrozumieć jego słowa. Był głuchy.

Amy dygotała na całym ciele - ten człowiek na pewno to widział, ale wydawało się, że nic go to nie obchodzi. Po chwili zjawiała się dziewczyna w różowym fartuchu.

Zaprowadziła Amy do sali rekreacyjnej, wyściełanego dywanem pokoju, w którym stały krzesła, stoliki i sofa. Siedziało w nim pięć dziewcząt, ale panowała niezwykła cisza. Wszystkie wydawały się spięte; w ich oczach widać jeszcze było ślady bólu. Najwyraźniej przeszły te same męczarnie co ona.

Podeszła do stolika, przy którym siedziała Numer Jeden, obojętnie rozczesując włosy. Był tu cały salon piękności: odżywki do włosów, kosmetyki, lakiery do paznokci. Numer Cztery otwierała szminki i patrzyła na nie oczami, które zdawały się niczego nie widzieć.

Amy rozejrzała się. W pokoju nie było Numer Trzy ani Numer Pięć. W oczach wszystkich dziewcząt czaił się strach.

Nadeszła chwila, na którą Amy tak długo czekała. Teraz dziewczyny będą gotowe jej wysłuchać. Ale jak mogła cokolwiek powiedzieć, skoro wisiorki wychwyca każde słowo?

Numer Jeden odłożyła szczotkę i wzięła pilnik. Obserwując ją, Amy coś zauważyła. Buteleczkę przezroczystego lakieru do paznokci.

Przypomniała sobie słowa mamy, skierowane do Tashy: „Posmaruj bransoletkę od wewnątrz lakierem do paznokci”. Lakier miał ją chronić przed niklem wystającym spod srebra, tworząc warstwę ochronną.

Amy wzięła do ręki buteleczkę. Otworzywszy ją, sprawdziła, czy mały pędzelek pokryty jest grubą warstwą lakieru. Potem zaczęła smarować nim półksiężyc.

Numer Jeden pierwsza zrozumiała, co robi jej siostra. Wzięła buteleczkę i zaczęła malować lakierem swój wisiołek. Potem przekazała ją następnej Amy. Pozostałe dziewczyny być może nie wiedziały, dlaczego to robią, ale też pokryły półksiężyc warstwą lakieru.

Kiedy wszystkie wisiorki zostały pomalowane, Amy uznała, że nadeszła pora, by zaryzykować szczerą rozmowę.

- No i co, wiecie już, że ci ludzie nie są po naszej stronie? - spytała.

Dwie dziewczyny pokiwały głowami; inna dotknęła skroni.

- Ten ból - wyszeptała. - Myślałam, że rozsadzi mi głowę. - Oczy Numer Osiem wypełniły się łzami.

Amy była pełna współczucia.

- Pewnie wam było ciężiej niż mnie. Ja mam nieco więcej doświadczenia w posługiwaniu się naszymi zdolnościami.

- Powiedz nam coś - błagała Numer Jeden. - Powiedz, co powinniśmy zrobić.

- Jesteśmy silne - powiedziała Amy. - Razem możemy ich pokonać. Musimy to zrobić, jeśli... - Urwała w pół zdania, jako że drzwi sali rekreacyjnej nagle się otworzyły.

Do środka weszła Numer Pięć. Ona też wydawała się niezwykle poważna, choć nie aż tak poruszona jak pozostałe dziewczęta. Podeszła do nich.

- Ale było ciężko - rzuciła. - Jak to wytrzyma łyście?

Numer Jeden, która stała najbliżej, położyła palec na ustach i wzięła do ręki wisiorek Amy Numer Pięć.

- Co ty robisz?- zdziwiła się nowo przybyła i dziewczyna, ale zanim zdążyła zareagować, Numer Jeden kilka razy przeciągnęła pędzelkiem po pół księżycu.

- Myślmy, że w ten sposób uda się zakłócić podsłuch - wyjaśniła Amy. - Musimy działać szybko, zanim ci ludzie zorientują się, że niczego nie słyszą. Najlepiej byłoby podzielić się na grupy i w tym samym czasie unieszkodliwić każdego z nich. Jest nas osiem. Dwie z nas powinny poradzić sobie z doktor Markowitz, ale ten głuchy lekarz jest dość barczysty, więc nim będą musiały się zająć trzy dziewczyny.

- Jest jeszcze jeden lekarz; widziałam, jak przechodził korytarzem - wtrąciła Numer Osiem. - Nie jest zbyt potężnie zbudowany, ale wygląda na silnego.

- Trzy dziewczyny dadzą mu radę - rzekła Amy. - No dobra, to wszystkie mamy co robić.

- A co z tą dziewczyną w różowym fartuchu? - spytała Numer Jeden.

- Nie możemy zwracać sobie nią głowy - oświadczyła Amy. - Ona tak czy inaczej na nic nie reaguje.

- Zaraz, zaraz - włączyła się do rozmowy Amy Numer Pięć. - Wydaje mi się, że wyciągacie niewłaściwe wnioski.

- Jak to? - spytała Numer Jeden. - Co, nie przechodziłaś tego okropnego badania?

Numer Pięć skinęła głową.

- Było strasznie - zgodziła się. - Ale o ile wiem, wcale nie miało tak być. Coś się zepsuło w sprzęcie. Doktor Markowitz zaraz nam wszystko wyjaśni:

- Skąd to wiesz? - spytała Amy, ale zanim Numer Pięć zdążyła odpowiedzieć, do pokoju weszła doktor

Markowitz. Jej zazwyczaj schludnie uczesane włosy były rozpuszczone. Wyglądała na zdenerwowaną.

- Dziewczęta, właśnie dowiedziałam się, co się stało. Bardzo, bardzo was przepraszam. - Siedem par identycznych oczu wpiło się w jej twarz, na której rysowała się troska. - Nastąpiła mechaniczna awaria w sprzęcie badawczym. Doktor Zyker uważał to dopiero podczas analizy danych.

- Dlaczego nie wyłączył tego urządzenia, kiedy zaczęłam krzyczeć? - spytała Numer Dwa posepnym tonem.

- Doktor Zyker jest głuchy jak pień- odparła doktor Markowitz. - Kiedy prowadzi badania, nie odrywa oczu od wydruku. Nie mógł wiedzieć, że zadaje wam męki. Jest mu bardzo przykro. Jak nam wszystkim.

Czy powinnam w tej chwili rzucić się na tę lekarke? -pomyślała Amy. Czy dziewczyny pomogłyby mi?

- Kiedy pomyślę, jak bardzo musieliście cierpieć... - Doktor Markowitz wyjęła z kieszeni chusieczkę i otarła oczy. Potem uśmiechnęła się. - Ale wiecie, co to znaczy? Zwykli ludzie po czymś takim straciliby słuch. Słabsi mogliby nawet umrzeć! Ale wy przeżyliście i nic wam się nie stało. Jesteście silniejsze, niż nam się wydawało. Teraz możecie działać razem, by w pełni wykorzystać posiadane przez was zdolności. Dziewczęta, pomyślcie tylko, co będziecie mogły osiągnąć, kiedy nauczycie się korzystać ze swoich darów. Świat stanie przed wami

otworem! Będziecie mogły robić, co tylko sobie wymarzą, być, kimkolwiek zechcecie!

Amy poczuła niepokój, gdy zobaczyła, jak niektóre dziewczęta patrzą na lekarkę. Czyżby uwierzyły w te bzdury?

- I przyrzekam wam, że już nic złego się nie stanie - oświadczyła *doktor* Markowi *tz uroczystym* tonem. - Nie będzie więcej bólu ani cierpienia. Jesteście dla nas najcenniejszymi rzeczami na świecie.

- Nie jesteśmy rzeczami - burknęła Amy.

- Ach, mamy wśród nas specjalistkę od semantyki - zakpiła doktor Markowitz z błyszczącymi oczami. - Przyszła panią profesor angielskiego! Wiecie, dziewczęta, każda z was kiedyś w końcu znajdzie jakąś dziedzinę, w której zapagnie się specjalizować. Może będzie to sztuka, nauka albo biznes... ale cokolwiek postanowicie zrobić, będziecie w tym najlepsze na świecie.

Numer Pięć wydała z siebie radosny okrzyk.

- Niech żyją Amy!

Zawtórowały jej dwie dziewczyny. Amy była zirytowana. Nadzieje na błyskawiczny atak legły w gruzach. Skoro trzy z nich dały się przekabacić Markowitz, to zostało ich pięć... nie, w pokoju było tylko siedem dziewcząt.

- Gdzie Numer Trzy? - spytała.

Uśmiech lekarki wyraźnie przygasł. Na jej twarzy odbił się smutek.

- Niestety, musieliśmy ją zwolnić. W jej struk-

turze genetycznej najwyraźniej wystąpiły jakieś wady. Okazało się, że nie ma tak dużego potencjału jak wy. Nie mogła się już nam na nic przydać, więc odesłaliśmy ją do domu.

- Jakie badania czekają nas jeszcze? - spytała jedna z dziewcząt.

Ponieważ Amy nie miała za grosz zaufania do lekarki, nie wysłuchała jej odpowiedzi. Myślała o Numer Trzy,

Nie zdążyła jej tak naprawdę poznać. Było jednak w tej nieśmiałej, wystraszonej dziewczynie coś takiego, jakaś taka swoista niewinność, która sprawiała, że w sercu Amy budził się instynkt opiekuńczy.

Cóż, pewnie powinnam się cieszyć, że Numer Trzy jest już w domu, zdrowa i cała. Ale będzie mi jej brakowało, pomyślała.

10

rozdział dziesiąty

Amy była pogrążona w zamyśleniu. Jak przekonać dziewczyny, że doktor Markowitz to nie Mary Poppins, święty Mikołaj i dobra babcia jednocześnie?

Dobrze, że chociaż dwie z nich nie dały się nabrać. Podczas gdy pozostałe dziewczęta zasiadły przed wielkoekranowym telewizorem z ogromnymi miskami prażonej kukurydzy na kolanach, Numer Jeden i Numer Osiem podeszły do Amy, stojącej przy oknie.

- Przynajmniej wiemy, że lakier do paznokci jest skuteczny - stwierdziła.

Numer Jeden przytaknęła.

- Gdyby doktor Markowitz wiedziała, o czym rozmawialiśmy przed jej przyjściem, na pewno by nas rozdzieliła.

Numer Osiem wbiła wzrok w kraty za oknem.

- Ciekawe, jak dużo trzeba wysiłku, żeby powyginać te pręty.

- Ciii - szepnęła Amy i kiwnęła głową w stronę pozostałych dziewczyn. - Nie zapominajcie, że one też mają doskonały słuch. W tej chwili są tak zuroczone doktor Markowitz, że pewnie nakablowałyby na nas, gdybyśmy zaczęły przy nich planować ucieczkę.

- Co one właściwie oglądają? - spytała Numer Jeden.

- Jakąś kasetę wideo - odparła Numer Osiem. - Zdaje się, że to *Grease*.

Amy skrzywiła się.

- Co do tych krat - odezwała się głosem zniżonym niemal do szeptu. - Gdyby cztery z nas pociągnęły za każdą z nich, mogłybyśmy odgiąć je na tyle, żeby stąd uciec.

~ I co potem? - spytała Numer Jeden. - Przecież jesteśmy wysoko nad ziemią.

- Mam pewien pomysł - powiedziała Amy. - Myłście kiedyś w cyrku?

Obydwie wywaliły na nią oczy, jakby podejrzewały, że postradała zmysły. Amy nie czekała na ich odpowiedź.

- Jeśli byliście w cyrku, to na pewno widziałyście

akrobatów. Zwróciłyście uwagę, jak podczas ćwiczeń przytrzymują się wzajemnie za nadgarstki albo kostki? W ten sposób mogą spuścić się na dół nawet z dużej wysokości. Numer Jeden zbladła.

- Nigdy nie miałam gimnastyki.

- Wszystko to kwestia siły i zmysłu równowagi - zapewniła ją Amy. - Wy macie do tego wrodzone zdolności. Spójrzcie w dół. Widzicie parapety przy każdym oknie? W drodze na dół możemy się ich przytrzymywać. Daję głowę, że każda z nas jest na tyle silna, by trzymając się parapetu, udźwignąć sześć pozostałych dziewczyn.

Numer Osiem wyglądała na nieprzekonaną.

- Wierzcie mi- nie ustępowała Amy.- Jeśli akrobaci cyrkowi potrafią to zrobić, to my tym bardziej.

Numer Jeden wyjrzała przez okno.

- Żeby sięgnąć tego parapetu, musiałybyśmy wszystkie razem trzymać się za ręce.

- Wiem - odparła Amy.- Dlatego trzeba namówić pozostałe dziewczyny, żeby uciekły razem z nami.

- Przede wszystkim trzeba przekonać Numer Pięć- stwierdziła Numer Osiem.- Jej na pewno posłuchają.

Amy wiedziała, że to prawda. Irytowało ją to, że Numer Pięć cieszy się u dziewczyn tak dużym poważaniem. W skrytości ducha liczyła na to, że to

jej przypadnie rola przywódcy - w końcu tylko ona miała jakiegokolwiek doświadczenie w radzeniu sobie z doskonałością. Musiała jednak przyznać, że Numer Pięć ma w sobie coś, co nakazywało się z nią liczyć. Pewnie w swojej szkole działała w samorządzie.

Amy spojrzała na nią, próbując zwrócić na siebie jej uwagę. Po dłuższej chwili Numer Pięć wreszcie oderwała oczy od telewizora i zwróciła twarz w stronę okna. Amy przywołała ją gestem.

Postanowiła powiedzieć bez ogródek, o co jej chodzi. Choć nie zgadzały się co do zamiarów doktor Markowitz, były w pewnym sensie siostrami. Numer Pięć była inteligentna. Będzie musiała uszanować jej poglądy.

A Amy powinna spróbować jej nie urazić.

- Zdaję sobie sprawę, co myślisz o naszym po bycie w tym miejscu - skłamała. - To coś wspania łego, dowiedzieć się nagle, że jest się kimś wyjątkowym, i móc liczyć na wsparcie kogoś takiego jak doktor Markowitz.

-i No jasne - odparła Numer Pięć. - Nie wyobrażam sobie, jak mogłabym powiedzieć moim rodzicom, że jestem od nich mądrzejsza, silniejsza, szybsza... że wszystko potrafię lepiej od nich. Chyba nie byłiby zbyt zadowoleni.

- Nie tęsknisz za nimi? - spytała Numer Jeden.

Numer Pięć wzruszyła ramionami.

- Jesteśmy tu dopiero kilka dni.

Tylko tyle? Amy całkowicie straciła poczucie czasu.

- Wiesz, niektóre z nas bardzo chcą wrócić do domu - powiedziała.

- To bez sensu - rzuciła Numer Pięć. - Zastanówcie się! Rodzice, rodziny nie mogą wam pomóc w rozwinięciu waszego potencjału. Nie rozumieją, jak bardzo jesteśmy wyjątkowe. Potrzebujemy pomocy doktor Markowitz, jeśli mamy osiągnąć to, co chcemy. Dostać to, na co zasługujemy.

- Mamy dopiero dwanaście lat - zauważyła Numer Osiem. - To ty się zastanów! Żadna z nas nie może zostać prezydentem, królową angielską czy choćby Madonną. Nie wolno nam nawet pracować! - Z jej ust wyrwał się jęk irytacji. - No nie, to znowu ona. Dziewczyna zombi. Czego chce tym razem?

Dziewczyna w różowym fartuchu stała w drzwiach, wskazując palcem Numer Osiem.

- Pora na sprawdzian z matematyki, pamiętasz? - powiedziała Numer Pięć. - Doktor Markowitz mówiła nam o tym.

Numer Osiem znowu jęknęła.

- Nigdzie nie idź beze mnie - powiedziała do Amy i wyszła.

- Wiesz, ona ma rację - stwierdziła Amy, zwracając się do Numer Pięć. - Owszem, mamy niesamowite zdolności, ale dopóki nie dorośniemy, na nic się nam one nie zdadzą.

- Chyba doktor Markowitz nie będzie nas tu trzymać do tego czasu, co? - spytała Numer Jeden.

- A skąd mam wiedzieć? - oburzyła się Numer Pięć. - Wiem tyle co wy.

- No cóż, niektóre z nas wolałyby spędzać czas w towarzystwie rodziny i przyjaciół, niż tkwić tutaj - powiedziała Numer Jeden.

- A niektóre nie - odburknęła Numer Pięć. - Jeśli chcesz odejść, to proszę bardzo.

- Nie gadaj głupot-ofuknęła ją Amy. -Przecież wiesz, że ta lekarka nie pozwoli nam stąd wyjść.

Numer Pięć musiała przyznać, że to prawda.

- To dla naszego dobra.

- Ale my nie chcemy tu siedzieć - upierała się Amy. - I wymyśliłyśmy, jak można by stąd uciec przez okno.

Numer Pięć wzdrygnęła się.

- Owszem, to dałoby się zrobić, ale żadna siła nie zmusi mnie do wyjścia na ten parapet. Nie jesteśmy nieśmiertelne. Jak już mówiłam, na razie najlepiej będzie zostać tu i trzymać się razem. - Uśmiechnęła się smutno. - Ale cóż, zróbcie, co uważacie za stosowne.

Wróciła do grupy dziewcząt oglądających film. Numer Jeden znów wyjrzała przez okno.

- Ile nas trzeba, żeby odgiąć te pręty? - spytała.

- Nie wiem - odparła Amy. - Spróbujmy.

- Zaczekaj!- krzyknęła Numer Jeden.- Ktoś idzie.

W drzwiach znowu stanęła dziewczyna w różowym fartuchu. Tym razem wskazała Amy. Do pokoju weszła Numer Osiem.

- Bułka z masłem - powiedziała. - Ułamki. Zajmuje się tym inny lekarz, taki młodszy.

Amy wyszła na korytarz. Zamiast iść krok w krok za dziewczyną w różowym fartuchu, zrównała się z nią i próbowała nawiązać rozmowę.

- Co dziś na kolację? - spytała.

Odpowiedziało milczenie. Dziewczyna zdawała się nawet jej nie słyszeć.

Czyżby była głucha tak jak tamten lekarz? Amy spróbowała mówić głośniejszym głosem, tuż nad uchem dziwnej dziewczyny.

- Lubisz tę pracę? - prawie że krzyknęła.

I nic.

Wyskoczyła na środek korytarza, stanęła przed dziewczyną w różowym fartuchu, wsadziła kciuki do uszu i zaczęła wymachiwać palcami jak małe dziecko.

- Tere-fere-kuku!

Dziewczyna zatrzymała się. W jej twarzy nie drgnął nawet jeden mięsień. Kiedy tylko Amy zeszła jej z drogi, znów ruszyła przed siebie. Amy patrzyła na nią ze zdumieniem.

Dziewczyna znów przystanąła. Tym razem drogę zablokowały jej otwierane drzwi. Na korytarz wyszła inna dziewczyna w różowym fartuchu. Obie wyglądały identycznie.

Amy замуrowało z wrażenia. Ta, która pojawiła się na korytarzu, zdawała się w ogóle nią nie interesować. Co więcej, nie zwróciła najmniejszej uwagi na swojego sobowtóra w różowym fartuchu. Puściła drzwi.

Zanim zdążyły się zaniknąć, Amy włożyła w nie nogę. Dziewczyny w różowych fartuchach bez słowa ruszyły korytarzem i skręciły za róg.

Amy położyła dłoń na klamce i odetchnęła głęboko, by uspokoić skołatane nerwy. Cóż zobaczy w tym pomieszczeniu - cały szereg ubranych na różowo zombi? Ostrożnie wśliznęła się do środka.

Nie było tam jednak ani jednej dziewczyny w różowym fartuchu. Pokój wyglądał jak gabinet lekarski. Lśnił czystością, były w nim szafki, umywalka i sprzęt medyczny, ale nie to zwróciło uwagę Amy. Na środku stał wózek z noszami, przykryty białym prześcieradłem. Amy patrzyła na niego w bezruchu i modliła się, by złudzeniem okazało się jej przekonanie, że coś - ktoś - na nim leży.

Wydawało jej się, że usłyszała oddech. Ale nie, to był jej oddech. Na sztywnych nogach podeszła bliżej wózka.

Tak, ktoś leżał pod prześcieradłem. Wystawała spod niego zwisająca bezwładnie ręka. Ręka z plastikową bransoletką na nadgarstku.

Amy wiedziała, co jest na niej napisane. Nie

musiała tego nawet sprawdzać. Jednak z jakiegoś powodu zrobiła krok do przodu, chwyciła zimną dłoń, odwróciła ją i odczytała numer na plastikowej bransolecie. Trzy.

Łzy napłynęły jej do oczu i ogarnął ją głęboki żal. To nie była zwykła dziewczyna z Kansas, którą poznała dzień wcześniej. To była jedna z nich. Jej siostra.

Amy zbierało się na płacz, ale nie mogła dłużej tu zostać. Miała za mało czasu na rozpaczanie. Jeśli Numer Pięć i pozostałe dziewczyny żywiły jeszcze jakieś złudzenia co do zamiarów doktor Markowitz, to powinna je rozwiać. Łączyła je ze sobą silna więź i musiały zareagować na ten widok... na śmierć jednej z nich... tak jak Amy. Musiały koniecznie zobaczyć swoją martwą siostrę.

Puściła sztywną rękę. Wybiegła na korytarz. Nie mogła ryzykować, że Ktoś ją zauważy; liczyła się każda sekunda. Musiała sprowadzić tu resztę dziewczyn, zanim ktoś się zorientuje, że nie stawiała się na sprawdzian z matematyki. Przy swoich Uzdolnieniach sportowych mogła dobiec do sali rekreacyjnej w dwie sekundy.

I udało jej się to - ale cały wysiłek poszedł na marne. Pod drzwiami stała Tammy. Patrzyła na Amy tak, jakby ogromnie się na niej zawiodła.

- Naprawdę chciałaś wyjść przez okno? - Potrząsnęła głową. - Zdajesz sobie sprawę, jakie to niebezpieczne? Mogłabyś się zabić!

- A co, mam czekać, aż wy to zrobicie? - rzuciła Amy ze złością.

Tarniny cmoknęła.

- Jesteś wprost niezdolna, młoda damo. Obawiam się, że będziemy musieli znowu cię zamknąć w izolacji. Dla twojego dobra.

- Nie pozwolę - oświadczyła Amy i z całej siły nadepnęła jej na nogę.

Z ust pielęgniarki wyrwał się okrzyk bólu. Amy ominęła ją i otworzyła drzwi sali rekreacyjnej.

- Zabili Amy Numer Trzy! -krzyknęła. -Chodźcie ze mną!

Ale pokój był pusty.

11

rozdział jedenasty

Tammy leżała na podłodze, pojękując cicho i ścisnąjąc obolałą stopę. Wyglądała jak zranione zwierzę.

- Gdzie one są?! - krzyknęła Amy. - Gdzie, są pozostałe?!

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

- Chyba złamałaś mi stopę. - Jęknęła. - Niedobre dziecko!

- Powiedz, gdzie one są! - nie ustępowała Amy.

- Dopóki masz jeszcze jedną zdrową stopę! - Podniosła nogę.

W odpowiedzi Tammy zaczęła głośniej jęczeć. Amy wiedziała, że nie zdobędzie się na to, by znów

zadać jej ból. Zresztą po co? Interesowały ją grube ryby, a nie płotki. Wyjęła z kieszeni pielęgniarce kółko z kluczami i zerwała się do biegu.

Tommy zaczęła krzyczeć. Amy wbiegła za róg. Po drugiej stronie korytarza, pod drzwianu wyjściowymi, stał doktor Zyker.

Był głuchy, więc nie mógł słyszeć krzyku Tammy. Wystarczyło jednak, by się odwrócił, a zobaczyłby ją. Z oczami nie miał żadnych problemów.

Zza jej pleców dobiegły kroki. Amy odwróciła się, zaciskając pięści, gotowa do ataku. Okazało się, że to tylko dziewczyna w różowym fartuchu. Szła, jakby ktoś nią sterował. Nie stanowiła zagrożenia dla Amy. A właściwie...

Amy w samą porę wskoczyła za nią. Kiedy doktor Zyker spojrział w jej stronę, zobaczył dziewczynę w różowym fartuchu prowadzącą jedną z Amy na kolejne badanie. Minał je bez słowa.

Amy wiedziała jednak, że kiedy tylko doktor wejdzie za róg, zobaczy leżącą na podłodze Tammy. Jeśli potrafił czytać z ruchu warg, natychmiast rzucił się w pościg za zbiegłą dziewczyną.

Amy rzuciła się więc w stronę drzwi, nad którymi widniał napis WYJŚCIE. Ku swojej irytacji, zauważyła, że na odebranych Tammy kółku jest co najmniej kilkanaście kluczy.

Popatrzyła na zamek. Przeniosła wzrok na klucze. W tej chwili uświadomiła sobie, że posiada jeszcze jeden dar- na podstawie kształtu zamka mogła

odgadnąć, który klucz będzie do niego pasował. W samą porę, bo zza jej pleców dobiegł tupot nóg doktora Zyker. Amy otworzyła drzwi i zbiegła schodami na dół.

Rozległ się trzask otwieranych drzwi. Poczowała podmuch powietrza. Wychyliwszy się zza poręczy, zdążyła jeszcze zobaczyć znajomą postać, zamykającą za sobą drzwi.

Musiała szybko podjąć decyzję. Pójść za doktor Markowitz? Czy może lepiej zejść na dół i poszukać jakiegoś wyjścia z budynku albo jakichś ludzi, których poprosiłyby o pomoc?

Mogłoby to jednak długo potrwać - dość długo, by doktor Markowitz dowiedziała się o jej ucieczce i przeniosła wszystkie Amy w inne miejsce. Amy Numer Siedem mogłaby uciec - a co z jej siostrami? Nie mogła zostawić ich na pastwę losu.

Nie miała czasu na rozmyślanie. Z góry dobiegł zgrzyt klucza w zamku. Szybko wbiegła na korytarz, na którym widziała doktor Markowitz. Podniósłszy głowę, zobaczyła drzwi zamykające się na drugim jego końcu.

Miała nadzieję, że doktor Zyker pomyśli, że zbiegła schodami na sam dół. Powoli podeszła do drzwi, za którymi zniknęła doktor Markowitz. Niestety, była w nich szyba, Amy dalej szła więc na kolanach. Zatrzymała się pod drzwiami i przycisnęła do nich ucho. Nic nie słyszała. Nawet oddechów.

Ostrożnie podniosła głowę, by zajrzeć do środka

przez szybę. Wyglądało na to, że pomieszczenie jest dźwiękoszczelne. Była w nim doktor Markowitz. I nie tylko. Pod ścianą stały trzy identyczne dziewczyny w różowych fartuchach. A na krześle, naprzeciwko lekarki, siedziała jedna z Amy. Spod rękawa jej koszuli wystawała bransoletka z piątką.

Pewnie ma ten sprawdzian z matematyki, pomyślała Amy, Chociaż... zdaje się, że Numer Osiem mówiła, że prowadzi go jakiś młody lekarz? To pewnie inne badanie.

Amy nic nie słyszała, ale widziała twarz doktor Markowitz. Mogła więc wypróbować swoją nową umiejętność - czytania z ruchu warg.

Nie widziała ust Numer Pięć, ale zauważyła jej gest - machnięcie ręką w stronę dziewcząt w różowych fartuchach. Najwyraźniej spytała lekarki, kim one są.

- To pozostałość poprzedniego eksperymentu, że tak powiem próby generalnej - mówiła doktor Markowitz. - Udało się nam odtworzyć ich ciała, ale mieliśmy kłopoty z komórkami mózgu. Nie namnażały się odpowiednio. Przez to objekty reagują tylko na elektryczne impulsy. Nie mają zdolności poznawczych, brak im wrażeń zmysłowych. Zobacz.

Doktor Markowitz pochyliła się i uszczypnęła jedną z trzech dziewczyn w rękę. Bez reakcji.

- Dlatego chcemy was przebadać. Żebyśmy mogli dojść, gdzie popełniliśmy błąd.

Numer Pięć musiała coś powiedzieć, ponieważ doktor Markowitz potrząsnęła głową.

- Nie, nie uszkodzimy was w najmniejszym stopniu. Żadnej z was. To, co stało się z Amy Numer Trzy... przykro mi z tego powodu. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że życie na odludziu uczyni ją nie zdolną do blokowania hałasu. Nie mieliśmy pojęcia, że to ją zabije. Wierz mi, nie chcemy stracić żadnej z was. Wy jesteście przyszłością. Bez was nie mogliśmy osiągnąć naszych celów. Rozumiesz to, prawda?

Numer Pięć skinęła głową, co wyraźnie zadowoliło doktor Markowitz.

- No dobrze, a teraz może powiesz mi, czego się dowiedziałas o Amy Numer Dwa? - Lekarka zamilkła i zaczęła coś zapisywać w notesie. - Rozumiem... uhm... Czyli jest świadoma swoich zdolności cyfrowych, ale nie atletycznych? Ciekawe. A Amy Numer Cztery, ta dziewczyna z Hiszpanii? To nie samowite, że całkowicie pozbyła się akcentu. Nie wiesz, czy zna inne języki?

Skinęła głową w odpowiedzi na coś, co powiedziała Numer Pięć, i dalej robiła notatki.

- Niepokoi mnie Amy Numer Siedem. Ma buntowniczą naturę i obawiam się, że to może się udzielić innym. Nie chcę, żeby podburzała pozostałe dziewczęta przeciwko nam. Jak zamierza uciec?

Doktor Markowitz przez minutę słuchała wyjaśnienia Numer Pięć, kiwając głową.

- Przez okno? - powiedziała wreszcie. - Nie, to zły pomysł. Zginie razem z wszystkimi dziewczętami,

które namówi do ucieczki. Nie wiem, co z nią począć. Możesz ją przekonać, żeby zaczęła nam sprzyjać? Nie poddawaj się, spróbuj jeszcze, dobrze?

Amy oniemiała ze zdumienia. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Numer Pięc nie współpracowała z tymi ludźmi... ona z nimi kolaborowała! Pomagała im. Z jakiegoś powodu - a na pewno nie był on uzasadniony - zdradzała swoje siostry.

Amy poczuła mdłości. Powiedzieć, że ogarnął ją smutek, to za mało. Numer Pięc od początku niezbyt przypadła jej do gustu, ale były siostrami. Co takiego zaoferowała tej dziewczynie doktor Markowitz, by skłonić ją do tak haniebnej zdrady? Jak duża musiałaby być łapówka, by którakolwiek z dziewczyn zgodziła się wystąpić przeciwko swoim siostram? Amy nie mogła sobie tego wyobrazić.

Zatopiona w myślach, nie zdawała sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa. Nagle poczuła, że ktoś łapie ją za ręce i wykręca je do tyłu.

Próbowała się wyrwać, ale znalazła się w żelaznym uścisku. Mężczyzna, który ją złapał, kopnął w drzwi. Doktor Markowitz podniosła głowę. Wyraźnie zaniepokojona, wstała i otworzyła drzwi.

- Gdzie ją znalazłeś?
- Tu, na korytarzu. Obserwowała was. Słyszac głos mężczyzny, zdała sobie sprawę, że to nie doktor Zyker. To musiał być ten trzeci lekarz, którego jeszcze nie spotkała.

Jego głos jednak wydał jej się dziwnie znajomy. Amy wykręciła głowę do tyłu, by przyrzeć się napastnikowi. Czekąca ją kolejna przykra niespodzianka.

- Pan Devon!

12

rozdział dwunasty

Nie „Chandler”, tylko „Candler”. Bez „h”. Tak, zgadza się. Nancy Candler. Jest na konferencji biologicznej. Co proszę? Co pani mówi? Są jakieś zakłócenia na łączach. Mogłaby pani to powtórzyć? Tasha patrzyła na mamę, która usiłowała dogadać się ze swoją rozmówczynią zza oceanu.

- Aha, rozumiem. Odezwę się za pięć godzin. Gdyby pani Candler wróciła wcześniej, proszę ją poprosić, żeby do mnie zadzwoniła. - Podała swoje nazwisko i numer telefonu, odłożyła słuchawkę i spojrzała na zegarek. - To będzie o północy naszego czasu - mruknęła.

- Co powiedzieli? - spytał Eric .

- Uczestnicy konferencji wyjechali na wycieczkę - odparła pani Morgan. - Nie można się z nimi skontaktować. Mają wrócić o szóstej rano.

- Mamo, może poszlibyśmy do szpitala? - spytała Tasha błagalnym tonem.

- I tak nie pozwolono by nam zobaczyć się z Amy, kochanie - powiedziała pani Morgan. - Poza tym pani doktor mówiła, że dziś nic złego się nie wydarzy. Amy ma lekko podwyższoną temperaturę, ale jej stan nie pogarsza się.

Erie wstał i zaczął chodzić po apartamencie.

- Leży tam od dwóch dni! Czemu nie mogą jej po prostu wyleczyć? Jakich oni mają lekarzy w tym Nowym Jorku?

- Nie wiedzą, jaka jest przyczyna choroby - wyjaśniła mu matka. - Pani doktor mówiła mi, że lekarze są pewni, że Amy czymś się zatruiła, ale nie mogą dojść czym. Przeprowadzili setki testów, lecz wszystkie dają wynik negatywny. Gdyby wiedzieli, z czym mają do czynienia, mogliby podać jej antidotum.

- A jeśli nigdy nie znajdą tej trucizny? - spytała Tasha z przerażeniem.

- Cóż, liczą na to, że sama z siebie przestanie działać.

- A jeśli nie? - Eric wyglądał przez okno. - Czy ona mogłaby umrzeć?

- Jak możesz w ogóle tak mówić! - pisnęła Tasha. - Czy ty nie masz serca?

Drzwi apartamentu otworzyły się i wszedł pan

Morgan. Miał posępną minę, ale zmusił się do uśmiechu.

- Zjrzałem do szpitala - powiedział. - Żadnych zmian. Ale brak wiadomości to dobra wiadomość, prawda?

Sztuczny optymizm ojca nie podniósł Tashy na duchu. Zgarbiła się i zaczęła myśleć o Amy.

- Zdobyłeś bilety na koszykówkę dla siebie i Erica? - spytała pani Morgan. - Ja i Tasha mogłybyśmy pójść do tej małej francuskiej knajpki po drugiej stronie ulicy. Tasha, co ty na to?

Jej córka tylko wzruszyła ramionami. Czuła tak silny ucisk w gardle, że była przekonana, iż już nigdy nie będzie w stanie niczego przełknąć.

- Tak, mam te bilety - rzekł pan Morgan. - Ale prawdę mówiąc, jestem dzisiaj strasznie zmęczony. Wiesz, co mam ochotę zrobić? Zamówić coś do jedzenia i pooglądać telewizję.

- To niezły pomysł - przyznała jego żona. - Ja też padam z nóg, I wolałabym zostać w pokoju, na wypadek gdyby zadzwoniła Nancy.

- Szkoda byłoby, gdyby te bilety się zmarnowały - powiedział pan Morgan. - Kosztowały mnóstwo pieniędzy. Tasha, może pójdziesz na mecz z bratem?

Żona spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Chcesz, żeby dzieci same poszły do Madison Square Garden?

- Czemu nie? Eric ma czternaście lat i jest odpowiedzialnym młodym człowiekiem. Mogą tam

i z powrotem pojechać taksówką. Eric , dasz sobie radę, prawda?

- Jasne- rzucił chłopiec ponuro.

Tasha okazała jeszcze mniejszy entuzjazm.

- Nie mam ochoty iść na mecz koszykówki.

Pan Morgan wyglądał na zasmuconego.

- No cóż, nie chcę, żeby Eric poszedł tam sam.

Może uda mi się zebrać siły...

Jego żona usiadła na poręczy fotela córki.

- Kochanie, wiesz, jak bardzo twój brat będzie rozczarowany, jeśli nie zobaczy Knicksów na żywo. A tata jest taki zmęczony.

- Jak mogę iść na mecz koszykówki, kiedy Amy leży w szpitalu? - wybuchnęła Tasha.

- Nie pomożesz jej, siedząc w pokoju- tłumaczyła jej matka. - Myślę, że to ci dobrze zrobi. Może choć na pewien czas zapomnisz o tym wszystkim.

Tasha ściągnęła brwi. Może Eric mógłby nie myśleć o Amy podczas meczu koszykówki, ale ona za bardzo kochała sw^foją najlepszą przyjaciółkę, by zapomnieć o niej na widok piłki przelatującej przez obręcz. Z drugiej strony, nie chciała zostać z rodzicami. Ojciec bez przerwy będzie starał się ją pocieszyć, a matka znowu zacznie namawiać ją do jedzenia.

- Dobrze, już dobrze - burknęła. - Pójdę z nim. - Spojrzała na brata, zaskoczona, że ten nie próbuje się temu sprzeciwić. Wyglądało na to, że jest mu wszystko jedno.

Rozległo się pukanie do drzwi. Pani Morgan poszła je otworzyć.

- Cześć, Jeanine, wejdz. Jak ci poszło na konkursie?

Jeanine wyglądała na jeszcze bardziej zadowoloną z siebie niż zwykle.

- Wydaje mi się, że bardzo dobrze. Oczywiście, dowiem się tego na pewno dopiero w czwartek, kiedy zostaną ogłoszone wyniki.

- Ani trochę nie obchodzi cię to, jak się czuje Amy? - spytała ją Tasha.

- Oczywiście, że obchodzi! - krzyknęła Jeanine. - Tylko że za każdym razem, kiedy o niej pomyślę... - Zaczęła się krztusić, jakby miała znowu wybuchnąć płaczem.

- Na razie jej stan się nie zmienił - powiedziała pani Morgan. - Szczęście w nieszczęściu, że się nie pogarsza.

- Dobrze i to - odparła Jeanine. - Wielka szkoda, że nie mogła wziąć udziału w konkursie.

- Och, Jeanine, nie udawaj... - zaczęła Tasha.

- Przestań - upomniała ją matka.

Tasha ugryzła się w język. Zauważyła, że Jeanine nie nosi już należącego do Amy naszyjnika z wisior-kiem w kształcie półksiężyca. Pewnie doszła do wniosku, że nie potrzebuje szczęścia, które miał jej przynieść,

- Dzisiaj odbędzie się zabawa dla uczestników konkursu - oznajmiła Jeanine. - Każdy z nas może kogoś ze sobą przyprowadzić. Eric, pójdiesz ze mną? A ty, Tasha? - dodała pośpiesznie.

- Idziemy na mecz koszykówki - powiedział chłopak.

Tasha uznała, że jednak dobrze zrobiła, godząc się pójść na ten mecz; w przeciwnym razie mama wygoniłaby ją na tę durną imprezę z Jeanine. Eric może i nie był jej wymarzoną kumpłem, ale wolała go od Jeanine. Szczerze mówiąc, nawet z Godzilią czułaby się lepiej niż z tą zmorą.

~ Czyli kolację zjesz na tej zabawie? - spytała pani Morgan.

- Och, zamówię coś przez telefon, zanim wyjdę - powiedziała Jeanine. - Do zobaczenia! - rzuciła i w podskokach wybiegła z pokoju.

- A propos jedzenia - zagadnął pan Morgan. - Umieram z głodu.

- Ja też - przytaknęła mu żona. - Dzieci, rzućcie okiem na kartę dań.

Erie i Tasha wykręcili się od jedzenia, obiecując, że przegryzą coś na meczu. Zaczekali, aż rodzice zasiądą przed telewizorem ze smakołykami przyniesionymi przez obsługę, po czym przyszykowali się do wyjścia.

Oczywiście, nie obeszło się bez jakże cennych ostrzeżeń.

- Rozmawiałam z recepcjonistą, obiecał, że załatwi wam transport do Madison Square Garden i z powrotem - powiedziała pani Morgan. - Nie rozmawiajcie z obcymi i nie kręćcie się po hali. Nie ruszajcie się ze swoich miejsc. Gdybyście mieli jakieś kłopoty, poszukajcie policjanta.

Erie i Tasha w końcu przekonali rodziców, że jakoś przeżyją tę wyprawę, i wyszli na korytarz. Drzwi pokoju Jeanine były otwarte. W środku krzątała się ta sama kobieta, która przyniosła kolację państwu Morgan. Właśnie układała na stole talerze i sztućce.

- Zaczekaj chwilę - zwróciła się Tasha do brata. - Zabiorę naszyjnik Amy.

- Po co? - spytał Eric .

- Nie chcę, żeby został u Jeanine. A poza tym... chcę mieć ze sobą coś, co należy do Amy. - Spodziewała się, że brat rzuci jakąś złośliwą uwagę. O dziwo, nie zrobił tego.

- Aha - mruknął. - Dobrze.

Kobieta z obsługi minęła się z Tashą w drzwiach. Poznała ją, więc nie zabroniła jej wejść do pokoju.

Nie było tam Jeanine. Tasha usłyszała dobiegający z łazienki szum prysznic. Nie zamierzała czekać, aż Jeanine skończy się kąpać.

Szybko rozejrzała się po pokoju i podeszła do szafki. Nic nie leżało na wierzchu, więc otworzyła pierwszą z brzegu szufladę. W środku był naszyjnik Amy. Tasha wzięła go, ale nie zamknęła szuflady. W oczy rzuciła jej się biała koperta. Dobywał się z niej jakiś zapach.

Tasha zmarszczyła czoło, kiedy uderzyła ją ta woń. Na pewno nie był to zapach perfum. Wydawał się dziwnie znajomy.

- Erie! - zawołała brata zniżonym głosem.

Chłopiec wszedł do pokoju.

- Pospiesz się, nie chcę stracić meczu.
- Erie, powąchaj to.
- Co?
- Tę kopertę. Poznajesz ten zapach?

Pociągnął nosem.

- Tak. Pachnie jak...
- Tost z cynamonem - odgadli jednocześnie.
- Pamiętasz apel w szkole? - ciągnęła Tasha. -

Jeden z mówców opowiadał o nowym narkotyku, który pachnie jak tost z cynamonem.

Erie wybauszył na siostrę oczy.

- Myślisz, że Jeanine bierze narkotyki?
- Nie - odparła Tasha ponurym tonem. - Jest zbyt przebiegła, żeby robić sobie krzywdę. Założę się jednak, że nie miałyby takich skrupułów w stosunku do innych osób.

Erie patrzył na nią tępo. Dopiero po chwili zrozumiał, co Tasha próbuje powiedzieć.

- Myślisz, że ona...

Wtedy jednak dobiegający z łazienki szum wody ucichł. Tasha pochwyciła kopertę i wyskoczyła z pokoju. Brat trzymał się tuż za nią. Zbiegli na dół, wypadli z hotelu i wskoczyli do samochodu, który miał ich zawieźć do Madison Square Garden.

Erie nie protestował, kiedy Tasha powiedziała kierowcy, by zawiózł ich do szpitala.

Amy patrzyła z niedowierzaniem na pana Devona. Człowiek, który nieoczekiwanie zjawiał się u jej boku w różnych wcieleniach - zastępcy dyrektora szkoły czy charakteryzatora - znów ją odnalazł. Nigdy nie była pewna, po czyjej jest stronie, ale do tej pory jej pomagał. Cóż więc knuł tym razem?

Odpowiedź na to pytanie uzyskała od razu.

- Amy, to doktor Franklin - przedstawiła go do ktor Markowitz. - On też bierze udział w projekcie. Co robiłaś na korytarzu? Czemu nie jesteś z pozostałymi dziewczynkami?

Odpowiedział jej pan Devon, doktor Franklin czy jak go tam zwał.

- Miała przyjść do mnie na sprawdzian z matematyki. Zaprowadzę ją do mojego gabinetu.

- Dobrze - zgodziła się doktor Markowitz.

Amy nie wiedziała, co robić. Czy pan Devon chciał ją uratować, czy też był członkiem organizacji?

Uznała, że lepiej będzie poznać prawdę kiedy indziej, zwłaszcza że stała niecały metr od otwartego okna, bez krat. Nadludzkim wysiłkiem uwolniła się z uścisku pana Devona i rzuciła się biegiem przez gabinet.

- Powstrzymaj ją! - krzyknęła doktor Markowitz.

Amy Numer Pięć próbowała stanąć na drodze uciekinierki, ale ta miała więcej doświadczenia w posługiwaniu się swoimi umiejętnościami. Bez trudu

odtrąciła swoją rywalkę nogą na bok. Niecałą sekundę później stała już na parapecie.

Do jej uszu dobiegł krzyk doktor Markowitz:

- Nie ruszaj się! Zabijesz się!

Amy wypatrzyła wystającą z muru cegłę i chwyciła ją z całej siły.

Zastanawiając się, co dalej, odruchowo spojrzała w dół i zakreśliło jej się w głowie. Bała się, że zaraz zacznie wymiotować. Nigdy dotąd nie doświadczyła lęku wysokości- no, ale nie miała jeszcze okazji wisieć nad ziemią, trzymając się jednej cegły.

Poluzowanej cegły, która powoli zaczęła wysuwać się z muru,

Kiedy jej dłonie ześliznęły się z niej, Amy usłyszała krzyk. Nie wiedziała, czy dobył się z jej ust, czy też dobiegł z góry, z gabinetu. Nie spadała jednak długo. Złapała się parapetu.

Podniosła głowę. Zobaczyła doktor Markowitz, Amy Numer Pięć i pana Devona. Doktor Markowitz była wyraźnie poruszona. Numer Pięć wyglądała na zaniepokojoną. Tylko pan Devon zachował kamienną twarz.

Doktor Markowitz wychyliła się z okna, złapała Amy za nadgarstek i pociągnęła do siebie. Dziewczynka jednak mocno trzymała się parapetu.

- Amy Numer Pięć, jesteś silniejsza ode mnie! - krzyknęła doktor Markowitz. - Wciągnij ją do gabinetu!

Numer Pięć wykonała polecenie. Złapała niedoszłą uciekinierkę za drugi nadgarstek. Amy poczuła lekkie szarpnięcie.

- Sama nie dam rady! - krzyknęła po chwili Numer Pięć.

Amy usłyszała głos pana Devona.

- Pójdę po resztę dziewczynek. Mogą złapać się sie ręce i wciągnąć ją wspólnymi siłami.

Amy spozrzała w dół. Na pewno gdzieś tu jest następny parapet. Nagle ogarnęły ją mdłości.

Nie zobaczyła żadnych okien. Żadnych parapetów. Ściana była gładka aż do samej ziemi.

Odbiło ci, wiesz? - powiedziała Numer Pięć. - Niczego nie rozumiesz? Mogłybyśmy rządzić światem.

Dałaś im się omotać - przestrzegła ją Amy. - To oni chcą rządzić światem! Wykorzystują nas!

No to co? - Numer Pięć wychyliła się. - Jesteśmy od nich silniejsze, mądrzejsze. - Obejrzała się przcz ramię i zniżyła głos do szeptu. - Jeśli przestaną być nam potrzebni, załatwimy ich! Pomyśl, Amy! Możemy pozbyć się każdego, kogo zechcemy!

Nikt nie powinien posiadać takiej mocy! - odkrzyknęła Amy. - Ani oni, ani my!

Numer Pięć mocniej zacisnęła dłoń na jej nadgarstku.

Nic bądź głupia! Jesteśmy po jednej stronie! - syknęła.

Do uszu Amy dobiegł zaniepokojony głos doktor Markowitz.

- Gdzie jest Franklin i inne Amy?

- Nie jestem po twojej stronie - wykrztusiła

Amy. - Będę walczyć z tobą tak jak z nimi!

Numer Pięć zmrużyła oczy.

- Wiesz co, Siedem... działasz mi na nerwy. -

Puściła nadgarstek dziewczynki.

Ulga, jaką przyniosło to Amy, nie trwała jednak długo.

Numer Pięć zepchnęła jej rękę z parapetu.

13

rozdział trzydziesty

Spadanie nie było takie straszne. Amy czuła się tak, jakby wreszcie znalazła wolność, jakby została wypuszczona z więzienia. Nie bała się. Tym bardziej że w dole stał pan Devon, czekając, by ją złapać... ale jak to możliwe?

- Amy... Amy...

Wciąż ją wołały. Doktor Markowitz, Numer Pięć, wszystkie Amy...

- Amy... Amy...

Próbowała się skupić. To był głos chłopaka, nie dziewczyny, głos z przeszłości... Eric ?

- Mamo, zobacz, ona chyba otwiera oczy!

Rzeczywiście, to był Eric . A z nim Tasha... państwo Morgan... i pielęgniarka, której Amy nie знаła.

- Co się stało? - spytała dziewczynka. - Gdzie jestem? - Mgła przesłaniająca jej oczy rozwiała się. Amy zdała sobie sprawę, że jest w szpitalu. Była tu już wcześniej...

Z trudem usiadła na łóżku.

- Hej, spokojnie - powiedział Eric . - Byłaś chora.

- Naprawdę?

- To przez Jeanine - dodała Tasha. - Otruła cię tym nowym narkotykiem, wiesz, tym, który pachnie jak tost z cynamonem.

- Nie mów tak - skarciła córkę pani Morgan. - Przecież nie masz na to dowodu.

- Mamo, znaleźliśmy ten narkotyk w jej szafce! - obruszył się Eric . Wziął Amy za rękę. - Przynieśliśmy go lekarzom, a oni już wiedzieli, co robić.

- Jeanine twierdzi, że dostała narkotyk od jednego z uczestników konkursu - powiedziała pani Morgan. - Zamierzała oddać go członkom komisji, żeby wykluczyli tę osobę z konkursu.

- Właściwie nie groziło ci niebezpieczeństwo, Amy - odezwała się pielęgniarka. - Ale nie mogliśmy cię zwolnić, dopóki nie dowiedzieliśmy się, co powoduje twoje omdlenia.

- Omdlenia? - zdziwiła się Amy. - To było więcej niż jedno?

- Lekarka powiedziała, że na przemian odzyskiwałaś i traciłaś przytomność - poinformowała ją pani Morgan.

- Ale teraz już jesteś zdrowa - zapewniła dziewczynkę pielęgniarka. - Jeśli czujesz się na siłach, możesz wyjść ze szpitala już dzisiaj. Pani doktor podpisała już odpowiedni dokument. - Wskazała kartkę, którą trzymała w ręku.

- Jaka pani doktor?

- Oczywiście doktor Markowitz.

- Opiekowała się tobą od chwili, kiedy zostałaś przyjęta do szpitala - dodała pani Morgan. - Była bardzo miła. Przez cały czas informowała nas o twoim stanie.

Drzwi otworzyły się.

- O, lunch - zauważyła Tasha. - Faj, nie wygląda zbyt apetycznie.

Amy nie patrzyła na jedzenie. Jej wzrok spoczął na niosącej tacę dziewczynie w różowym fartuchu. Kiedy ta podeszła do łóżka, Amy wychyliła się i uszczypnęła ją w rękę.

- Au! -Dziewczyna odskoczyła do tyłu i spojrzała na nią z niepokojem.

- Przepraszam - powiedziała Amy. - Nie wiem, co mnie naszło.

- Pewnie jeszcze trochę mąci ci się w głowie - stwierdziła jej przyjaciółka.

- Czujesz się na siłach opuścić szpital, Amy? - spytał pan Morgan z troską.

- Oczywiście- odparła Amy i zwiesiła nogi z łóżka.

Pielęgniarka pomogła jej wstać.

- Przyniosłam ci ubranie.

- Zaczekamy na zewnątrz - rzekła pani Morgan. -
Chodźmy.

Amy ubrała się z pomocą pielęgniarki.

- Kiedy mnie tu przywieziono, zajmowała się mną jeszcze jedna pielęgniarka - powiedziała, jakby nigdy nic. - Miała na imię Tammy. Zna ją pani?

- Och, no pewnie. Dziś wzięła wolne. Biedaczka, złamała sobie stopę.

- Naprawdę? - mruknęła Amy. Ale przecież to wszystko było snem, pomyślała. Narkotycznymi zwidami. Złamana stopa Tammy... to tylko zbieg okoliczności.

A przynajmniej musiała w to wierzyć. Na razie.

Wyszła z pokoju szpitalnego. Na korytarzu czekali na Amy jej cudowni, zwyczajni przyjaciele, by zabrać ją z powrotem do jej cudownego i niezbyt zwyczajnego świata.

NOTATKA DYREKTORA

PIERWSZY Z OBSERWOWANYCH OBIEKTÓW NIE WYKAZUJE CHĘCI DO WSPÓŁPRACY. JEŚLI PRZEWIDYWANE JEST WŁĄCZENIE JEJ DO PROGRAMU BADAŃ, NALEŻY PODJĄĆ SPECJALNE DZIAŁANIA.